

Aleksander Żyga

Zwierciadło przemian wsi rzeszowskiej

Rzeszowszczyzna, stanowiąca kolebkę ruchu ludowego, który tak ważną rolę odegrał w formowaniu się klasowej świadomości chłopskiej w walce o społeczne i narodowe wyzwolenie — jest także ojczyzną chłopskiego pamiętnikarstwa w Polsce. Pierwsi zdolniejsi działacze chłopscy starali się bądź z własnej inicjatywy, bądź za zachętą innych odmalować i przedstawić ówczesny stan cywilizacyjny i etnograficzny wsi, ukazać często efekty prowadzonej przez nich w imię postępu i kultury w rodzinnych wsiach działalności społecznej. W Galicji, a głównie w Rzeszowskim powstały właśnie pierwsze tak trudno dziś dostępne w naszych bibliotekach pamiętniki chłopskie — Słomki, Kurasia, Magrysia, będące kopalnią wiadomości do historii, socjologii, obyczajowości i kształtowania się świadomości klasowej ówczesnego chłopca. Dość bogaty rejestr pamiętników chłopskich Rzeszowszczyzny da się uzupełnić wydanymi dopiero w ostatnich latach pamiętnikami tutejszych działaczy ludowych: Stryczka, Fołty, Stapińskiego oraz jednego z ostatnich mohikaninów ruchu ludowego, niedawno zmarłego Madejczyka.

Oczywiście wymieniamy tu pamiętnikarzy najważniejszych i najbardziej reprezentatywnych, których pamiętniki ukazały się drukiem. Pomnożyć by je można pamiętnikami chłopskimi pozostającymi w rękopisach naszych bibliotek czy zbiorów prywatnych. Liczba ich niewątpliwie zwiększy się dzięki kontynuacji przez współczesnych chłopów chwalebnej tradycji swych dziadków i ojców.

Zasilające tak obficie polską literaturę chłopską piśmiennictwo Rzeszowszczyzny dało o sobie znać także w tak zwanym pamiętnikarstwie konkursowym.

Na kilkanaście autobiografii zamieszczonych w wydanych w roku 1937 przez Instytut Gospodarstwa Społecznego, seriach „Wiejskich działaczy” („Życiorysy działaczy chłopskich” i „Życiorysy inteligentów”) na 19 drukowanych znajduje się 5, w których autorami są chłopcy pochodzący z terenów obecnej Rzeszowszczyzny. Niewielką ilość pamiętników „rzeszowskich” chłopów znajdziemy także w wydanych kilka lat wcześniej — również będących plonem zorganizowanego przez powyższy Instytut Gospodarstwa Społecznego konkursie na pamiętnik chłopów — dwutomowym wydawnictwie „Pamiętników chłopów”, jak i w opracowanych przez Józefa Chałasińskiego w roku 1938 publikacji pt. „Młode pokolenie chłopów”, opartej na materiałach konkursowych na pamiętnik młodzieży wiejskiej. Procent

drukowanych w wymienionych powyżej wydawnictwach pamiętników regionu rzeszowskiego, aczkolwiek dowodzi pewnej ich reprezentatywności w odzwierciedleniu ówczesnych stosunków społecznych i politycznych oraz ich poziomu literackiego — nie jest jednak właściwym i dokładnym sprawdzianem udziału tutejszych chłopów w konkursach. Prawdziwy obraz tego zjawiska otrzymywalibyśmy dopiero po dokładnym przeanalizowaniu nie zawsze zachowanych do dnia dzisiejszego archiwów konkursowych. Okazałoby się wówczas zapewne, że prężność pisarska chłopów z granic powiatów dzisiejszego województwa rzeszowskiego była o wiele większa. Wystarczy tylko rzucić okiem na załączoną do jednego z tomów „Pamiętników chłopów” (wybór z nich wznowiono w jednym tomie po drugiej wojnie światowej) mapkę pochodzenia uczestników konkursu, a wyciągniemy niedwuznaczny wniosek, że powiaty Rzeszowszczyzny obok powiatów Kielecczyzny były reprezentowane na konkursie najobficiej. Zamieszczeniu większej ilości pamiętników w druku obok być może i słabszych ich walorów literackich, na przeszkodzie stanęła współczesna cenzura. Zawarty w nich radykalizm i nasyconie buntem wobec współczesnych władz sanacyjnych sprawiły, że w okresie organizowania chłopskich manifestacji i strajków nie mogły one ujrzeć światła dziennego.

Ślady tego przekonania dadzą się odczytać z przedmowy Ludwika Krzywickiego, którą pamiętniki są poprzedzone, jak i z wyznań jednego z autorów „Pamiętników chłopów”, który brał udział w konkursie na „Nowe pamiętniki chłopów” w okresie po drugiej wojnie światowej.

Zaszczyt rzeszowskiemu pamiętnikarstwu chłopskiemu przynosi fakt, że plon tego konkursu — tom „Nowych pamiętników chłopów”, poprzedzonych wstępem Antoniego Olchy, otwiera właśnie życiorys rzeszowskiego chłopca, będący kontynuacją pamiętnika drukowanego w międzywojennej serii „Pamiętników chłopów”. Równocześnie ten symboliczny gest stanowi dowód nawiązywania przez wydawnictwo do tradycji międzywojennego pamiętnikarstwa chłopiego. Szkoda, że nie został rozstrzygnięty, ogłoszony w roku 1948 przez spółdzielnię wydawniczą „Czytelnik” konkurs na „Opis mojej wsi”. Udział w nim rzeszowskich pamiętnikarzy ujawni dopiero realizacja rozpoczętego wydawnictwa tych pamiętników, w której przewidziany jest specjalny tom, mający obejmować pamiętniki chłopów Polski Południowej.

Wszystkie dotychczasowe osiągnięcia chłopskiego pamiętnikarstwa konkursowego pobili uczestnicy zorganizowanego w roku 1961 konkursu przez Związek Młodzieży Wiejskiej, Ludową Spółdzielnię Wydawniczą i Komitet Badań nad Kulturą Współczesną Zakładu Socjologii Wsi PAN. Na ogólną liczbę nadesłanych na konkurs 5476 pamiętników z całej Polski, województwo rzeszowskie liczbą 239 zajmuje zaszczytne trzecie miejsce.

Konkurs wyżej wspomniany odzwierciedla potęgującą się coraz bardziej dążność rzeszowskiej młodzieży chłopskiej do wypowiadania swych przeżyć, myśli i uczuć w prozie pamiętnikarskiej w przeciwieństwie do zanikającej tu poezji chłop-

skiej, którą reprezentuje już tylko wymierająca generacja najstarszych rymopisarzy.

Daleko jeszcze wprawdzie do końca szeroko zakrojonej imprezy wydawniczej, będącej plonem tego konkursu i mającej objąć około 12 tomów życiorysów, podzielonych według kryteriów tematycznych — ale już dzisiaj można się podjąć prowizorycznej oceny ich zawartości, mając oczywiście na względzie pamiętniki rzeszowskie, rozważane na tle pozostałych. Te bowiem w pewnym sensie jak całość w nie mniejszej mierze odzwierciedlają symptomy przemian, jakie dokonały się w ostatnich czasach w Rzeszowskim oraz w świadomości tutejszej młodzieży pochodzenia chłopskiego.

Zanim się pobieżnie scharakteryzuje problematykę zawartych w tomach pamiętników rzeszowskich, trzeba powiedzieć kilka zdań o sposobie ich edycji, ta bowiem różni się zasadniczo od normalnego wydawania tego typu publikacji. Pod tym względem wydawcy nawiązali do tradycji międzywojennej. Nie traktowali owych życiorysów jako dzieł literackich, aczkolwiek niektóre z biografii niewątpliwie je posiadają, ale jako materiał naukowy: dla historyków, socjologów, badaczy psychologii społecznej czy badaczy przemian zachodzących w świadomości chłopów.

Do publikowanych w wydawnictwie pamiętników rzeszow-

skich można bez zastrzeżeń zastosować i odnieść twierdzenia, które wypowiedzieli na ich temat autorzy przedmów do poszczególnych tomów.

Autorka przedmowy do tomu „Od chłopca do rolnika” stwierdza: pamiętniki młodzieży chłopskiej lat międzywojennych odzwierciedlały „polską krzywdę”, zmarnowanej młodości własnej i marnowanych możliwości pokolenia, brak perspektyw społecznych.

Fala buntu społecznego, narastająca na wsi w wyniku postępującej proletaryzacji i degradacji wsi znalazła w pamiętnikach młodzieży jaskrawą dokumentację w dziedzinie społecznej świadomości. Zbiór współczesnych pamiętników młodego pokolenia wsi, piszących w zmienionych warunkach społeczno-politycznych i społeczno-ekonomicznych charakteryzują generalnie postawy „otwartych możliwości”, co uzewnętrznia się przede wszystkim w prawdziwej ekspresji różnorodnych potrzeb — aspiracji wynikających z zaspokożenia — lepszego lub gorszego — elementarnych potrzeb — konieczności. Są to aspiracje bądź osobiste, bądź społeczno-miejskie, których zasadnicze punkty koncentrują się w dwóch porównawczych płaszczyznach: między wsią „przedwojenną”, czy wsią „dawną”, znaną bądź z autopsji, bądź z relacji ro-

(Ciąg dalszy na str. 3)

RYS. J. SIENKIEWICZ

KARNAWAL



Cecylia Błońska

Entuzjastki - zaproszenie do tańca

Nazywano ją entuzjastką. Złożona już nieuleczalną chorobą, nie tracąc daremnej, niestety, nadziei, że przezwyciężyć zdoła niemoc, cieszyła się wiadomością o tym, że jej książka „Tańce z okolic Rzeszowa” wkrótce ukaże się w druku.

Nic dziwnego, że tak wielką wagę przykładła do tej pozycji, nie obliczonej bynajmniej na masowego czytelnika, wydanej przez Centralną Poradnię Amatorskiego Ruchu Artystycznego w Warszawie w tak popularnej wśród zespołów serii Biblioteki Repertuarowej.

W rodzinie Lidii Nartowskiej nieraz wspomniano o tym, że z pochodzenia Besarabianka, we krwi miała umiłowanie tańca, odczucie tonów muzyki. Wówczas gdy rynek księgarski odczuwał brak wydawnictw tanecznych, wykorzystywała swoje grunturowane znajomości rosyjskiego języka, tłumacząc opisy rosyjskich tańców, a także wydając własne poradniki — opisy tańców regionalnych: rzeszowskich, żywieckich, lubelskich i innych. Może na równi, może i więcej niż liczne nagrody, państwowe i wojewódzkie odznaczenia, cieszyła ją laury Ogniska Baletowego w Jarosławiu, które przez tyle lat prowadziła, radowały sukcesy, jakie na estradach świata odnosiły rzeszowskie tany.

Ruch amatorski Rzeszowszczyzny ma w tej dziedzinie szczególne tradycje. Jego załóżki powstały ongiś na gruncie walki o utrzymanie języka, wychowanie patriotyczne i zachowanie kultury. Związyły zarys rozwoju ruchu amatorskiego, stanowiący wraz z notatką o autorce znanego rzeszowskiego choreografa młodego pokolenia Bożeny Niżańskiej, wstęp do „Tańców”, wymienia z kolei zespoły regionalne z Machowa, Suchodolu, Krosna, Kraczkowej jako pierwsze, które niezwłocznie po wywołaniu powstały lub reaktywowały swą działalność. W latach 1947—1950 rzeszowska pieśń i taniec ludowy przypominały zespoły w Rzeszowie, Twierdzy, Przemyślu, a równocześnie w takich wsiach, jak Luźna (gdzie przed dwoma laty zespół obchodził 50-lecie swego istnienia), Wiśniowa, Bobowa, Gać Przeworska, Olchowa i in. starzy i młodzi wznowili amatorską działalność artystyczną.

Znajomość ludowego tańca, przyspiewek okazała się również atrakcyjna dla zespołów robotniczych powstałych przy zakładach pracy, przeważnie w miastach powiatowych. Stają się znane zespoły tańca i pieśni rzeszowskiego WDK, Stalowej Woli, Mielca, Glinika, Charzewskiego, Starej Wsi, Glinika Zaborowskiego.

B. Niżańska wymienia festiwale, międzynarodowe konkursy, na których Rzeszowszczyzna zaprezentowała swe ludowe tańce, wysoko ocenione i nagradzane. W międzynarodowych Festiwalach Młodzi i Studentów trzykrotnie bierze udział Zespół Pieśni i Tańca przy fabryce obuwia sportowego w Krośnie, w III Festiwalu w Berlinie w r. 1951, w V Festiwalu w Warszawie w r. 1955 i VI Festiwalu w Moskwie w r. 1957. Zespół Pieśni i Tańca z Glinika

Zaborowskiego zajmuje I miejsce w międzynarodowym konkursie na festiwalu w Nicei w r. 1960. Zespół z Olchowej przywozi złoty medal z międzynarodowego konkursu zespołów ludowych, zorganizowanego w czasie wystawy rolniczej w Dreźnie w r. 1962. Zespół taneczny Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie w roku 1964 na Międzynarodowym Konkursie Folklorystycznym w Agrigento na Sycylii zdobywa I miejsce i nagrodę w postaci miniatury Świątyni Dioskuri, wykonanej ze złota.

Nota o autorce stwierdza, iż wydawnictwo jest dorobkiem długich lat pracy Lidii Nartowskiej, wynikiem jej penetracji w terenie, owocem dążeń do utrwalenia wielu nieznanych tańców, przede wszystkim z okolic Przeworska i Tarnobrzega. Nota słusznie zapewnia, że o Lidii Nartowskiej można by napisać tomy, bo to rozległa historia pracy wytrwałej entuzjastki, w nie najlepszych prowadzonej warunkach...

W przypisie „Od redakcji” czytamy jeszcze, iż „Tańce z okolic Rzeszowa” przez autorkę zbierane były w okresie około 20 lat z myślą raczej o pracy praktycznej z zespołem, niż o wydawnictwie. Niemniej jednak dobór recenzentów, sprawdzenie nut w archiwum Państw. Instytutu Sztuki, liczne konsultacje w połączeniu z ogromnym doświadczeniem Nartowskiej stanowią winny gwarancję odbicia stanu zachowania folkloru tanecznego w tym określonym terenie oraz poprawności przekazania form tańca i melodii czytelnikowi.

Gdy wspomina Nartowską, ów czynnik pracy z zespołem, pomocy amatorskiemu zespołowi, rzetelnego instruktora, wydaje mi się z kolei dominującym w Jej nowo wydanej książce.

Zawiera ona opisy tańców Rzeszowiaków powszechnie tańczonych, takich jak polka z „kropką”, polka „przez nogę”, polka „uginana”, tańce i zabawy taneczne z okolic Przeworska (wśród nich polka „Suwicz” i „Gacok”, tak znane „Siano grabała” i walc rzeszowski).

Rozdział „Zabawy taneczne” otwiera „Uciekla mi przepióreczka w proso”, której źródła autorka upatruje we wsi Rozbórz Wielki. Kolejno idzie „Gąsior” (wieś Sietesz) zabawa taneczna organizowana pod koniec wesela. Prowadzi ją sam... starosta weselny, który zamawia u kapeli „gąsiora” i natychmiast formuje się za nim grupa chętnych. Również dokładne eksplikacje zawiera opis zabawy tanecznej „polka ze stolkiem”, przy której dziewczyna śpiewać winna:

„Danaż moja dana,
nie pójdę za pana,
tylko za takiego,
jaka i ja sama”.

Równoległe ze szczegółowym opisem, metodologią tańca, jasną zapewne dla każdego, kto w tej dziedzinie pracuje, czy też tylko ma pewne doświadczenie, „Tańce” Nartowskiej, zawierają również teksty przyspiewek. Wydawca — Centralna Poradnia Amatorskiego Ruchu Artystycznego — zaopatrzyła też tekst w nuty (podane w formie jednogłosowej). Zespoły otrzymują



LIDIA NARTOWSKA

równocześnie kilka wkładek muzycznych: zespół melodii tanecznych opracowanych na fortepian przez Romana Smoczyńskiego na cztery instrumenty Lecha Puchnowskiego. Również pomocne okazały się zapewne ilustracje Ireny Smoczeńskiej.

Zespoły dziecięce, szkoły, a nawet i przedszkola z powodzeniem sięgnąć mogą do układów scenicznych przeznaczonych przez autorkę dla dzieci, dla młodzieży szkolnej.

Umiała z nimi zawsze znaleźć wspólny język. Pamiętam niejednemu jej wyjazd, z całym bagażem strojów, instrumentów, mnóstwem akcesoriów, w odkrytych ciężarowych autach i ową niezawodną organizację towarzyszącą wszystkim poczynaniom, którym patronowała w terenie. Nienaganne zachowanie się młodych adeptów tańca, starania o to, by w obcym środowisku, dokąd przybywali z występem, prezentować mogli nie tylko pięknie wypracowany taniec, barwny strój, ale by i ich kultura, koleżeństwo, zdyscyplinowanie.

Chociaż czas leci nieubłaganie, a z nim przychodzi zapomnienie, o Lidii Nartowskiej często pisze prasa kulturalna; jej życie i praca dla tanecznego ruchu amatorskiego przypominał niedawno wielki znawca prof. Swatko.

Mając przed sobą książkę rzeszowskiej Entuzjastki przypominam sobie taki naiwny i zabawny epizod z jej życia. Wielka i okazała przybyła pewnego dnia na naradę w sprawie tańca ludowego do dużego miasta (poza naszym województwem). Gdy wysiadła na dworcu, towarzysząca jej kierowniczka zespołu tanecznego zapytała o jakiś pas z rzeszowskiej polki. Pani Lidia nie zastanawiając się wiele, że to ruchliwa ulica, mnóstwo ludzi właśnie śpieszy do pracy, przybrała taneczną pozę i bez skrępowania zaczęła demonstrować młodszej koleżance porywisty, taneczny krok.

Zdumiony nieco obrotem sprawy przedstawiciel porządku publicznego szybko przyjął do wiadomości wyjaśnienie, iż jest to tylko zwyczajna wskazówka, udzielona koleżance, jak tańczyć rzeszowskie tańce...



Maria Cichorzewska-Drabik — Uzdrowisko, olej

Gerard Górnicki

ETIUDA STRZYŻOWSKA

Krótki pobyt w rodzinnym mieście; parę godzin wieczoru, zwięzłe dialogi, intensywne emocje — szarmonizowało się w etiudę, brzmiającą jak echo dalekie. Na literackie spotkanie autorskie do Strzyżowa skierował mnie dyr. Piziak, szef Woj. Biblioteki w Rzeszowie. Wybraliśmy się na Południe samochodem, razem z Józefem Henem, który miał tego dnia spotkanie z młodymi czytelnikami w Krośnie. Jechaliśmy w towarzystwie bibliotekarki, podobnej do dziewczyny z Florencji, bardzo rozmownej, kokietującej wielką sztuką polską: literaturę, film, teatr. Czas skurczył się do wymiaru małego, scenicznego obrazka. Jeszcze kilka nowych dowcipów: warszawsko - rzeszowsko - poznańskich, maleńki kabarecik międzymiastowy i już wspaniałe widoki na panoramę Strzyżowa z Żarnowskiej Góry. Coś uroczonego. Jeden rzut oka na górzysty horyzont, krótkie przypomnienie: z tej ziemi pochodzi Julian Przyboś, Maria Jarochowska, Romuald Piłera oraz wielu niezwykłych ludzi. W ubiegłych latach byłem w Żarnowej i w Lutczy na spotkaniach z czytelnikami, nie miałem czasu na Strzyżów.

Do powiatowej i miejskiej biblioteki nie mogliśmy trafić o zmroku, gmach otoczony prowizorycznym parkanem i wszelkiego rodzaju sprzętem i materiałem budowlanym. Roboty na wielką skalę. W progu czekała na nas p. Ryżak, zapewne z bijącym niepokojem sercem i pytaniem: „czy ten Górnicki przyjdzie?”. Gdzieś w trzecim zdaniu rozmowy, przypominałem, że jej starszy brat był moim młodszym kolegą w latach gimnazjalnych i już cieszyliśmy się odnowioną znajomością. Biblioteka mnie urzekła; biała, elegancka, wysoka z zakamarkami i salami, ze schodami krętymi i soczystym światłem, z rozległymi regałami, stolikami lśnącymi, wyprawiana drewnem koloru miodu. Smukłe kolumny, dębowe drzwi, trudny do określenia styl, może bliski gotyku. Czasu na rozpoznanie nie ma, czytelnicy czekają na piętrze. Sporo młodzieży, dziewcząt (tak właśnie lubię), kilka moich koleżanek z lat szkolnych, paru starszych panów, pamię-

tających mnie jako chłopca uganianego za piłką na pasternikach nad rzeką... Moja Matka!

Tak. Moja Matka. Wdowa po tulaczu — emigrancie. Kobieta o długim, samotnym życiu, bez męża. Jako dziewczyna marzyła o tym, aby zostać nauczycielką, nie spełniły się Jej sny o pięknym zawodzie. Coś Jej jednak pozostało z „egzotycznych” upodobień: sztuka pisania listów obrazowych, wyrazistych, lirycznych albo gwałtownych, niezwykłych. Jakies fragmenty pomieściłem w powieści: „Ucieczka na obczyźnie”, której tekst składają już poznańscy drukarze.

Zabrałem głos. Mówiłem o randze i o problemach współczesnej literatury polskiej, o źródłach inspiracji własnej twórczości, tkwiących przecież w trudnym życiu ludzi nad Wisłoką, o swoim losie, o swoim życiu w odległym Poznaniu. Wreszcie o problemach moralnych nowej powieści, którą piszę, osnutej na tle aresztowań przez hitlerowców w listopadzie 1939 r. — polskich uczonych w Krakowie, wyniszczonych w Sachsenhausen. Po kilku minutach spostrzegłem się, że wszystko, o czym mówiłem, było właściwie skierowane do mojej Matki. Ona patrzyła na mnie, ja widziałem tylko Jej drobną, zaróżowioną twarz, oczy szeroko otwarte, szkliste, usta wąskie, lekko uchylone, przybladłe. Niby wodzilem wzrokiem po sali, spotykałem zaciekawione, skupione spojrzenia, ale mój wzrok uciekał w lewy kąt sali, gdzie w ostatnim rzędzie krzesel siedziała moja Matka z nieruchomą głową. Niepokoili mnie ten jej bezruch, dziwił spokój i zdumienie, nie wiedziałem, co znaczy taka obecność Matki. Więc tak przez niespełna godzinę, w otoczeniu ludzi, rozmawialiśmy sobie w dziwny sposób; ja gawędziłem o sprawach nie zawsze prostych, Ona była w rodzaju milczącej gwiazdy na niebie, jasnej, ciepłej. Dobroczynne było to ciepło twarzy, oczu, warg. Po- czułem się mocny.

Oczywiście stawiano mi pytania; p. Janka G. interesowała się jeszcze naszymi wspólnymi wybrzykami szkolnymi, p. Sz. czymś poważnym, wspólną pracą redakcyjną nad szkolną gazetą. Wpisałem kilka kawałków dedykacji, przeważnie w „Powrocie Stanley'a Kozdry”, co o radości i słońcu, wielu dziewczętom.

Byłem znużony. W domu Matka poczuwała mnie gorącym mlekiem. Czekalem dwie godziny na powrót Hena z Krosna. Rozmowa z Matką nie kleiła się, czas wypełniało milczenie. Milczenie, panujące na ogromnej wyspie, zamieszkałej przez nas dwoje, bo czas wieczoru autorskiego zaczarował nas, omamiał, nie potrafiłszy tak zaraz powrócić — każde z nas — na stałe lady własnego, oddzielnego czymś życia. Doczekałem się wreszcie pierwszego spotkania autorskiego — pisarza z własną Matką. Po dziesięciu latach stażu pracy literackiej, bo wiersze patriotyczne do prasy konspiracyjnej pisałem dawno, podczas okupacji. Po bardzo licznych spotkaniach w całym kraju. Styczna była ta strzyżowska etiuda.



Na zdjęciu od lewej: Donna Inez — Irena Chudzikówna, Donna Diana — Anna Kujalowicz, Carramanchel — Ryszard Filipiński.

Krystyna Świerczewska

ZABAWA NA KARNAWAŁ

Komedie Tirsa de Molina „Zielony Gil” wyobrażam sobie zupełnie dobrze tak zagrana:

Na wstępie jedna z licznych postaci, może to być np. Carramanchel, opowie treść w dwóch zdaniach i dopiero po tym zabawę smakowania urodziwego dialogu — to znaczy słowa błyszczącego inteligencją, żywością, kalamburami i szczyptą plebejskiej zardziorności.

Żeby zabawa była wysmienita konieczny jest:

Pierwszy warunek — dobrzy, bardzo dobrzy aktorzy.

Drugi warunek — dynamiczność spektaklu — a więc ruch, barwa, tempo.

I trzeci warunek — dobre opracowanie muzyczne oraz talenty wokalne.

Rzeszowski „Zielony Gil” miał wszystkiego po trochu i był spektaklem przyzwoitym.

Ale niekoniecznie musiał zawierać elementy operetkowe — bo „Zielony Gil” operetką nie jest.

Zupełnie niekoniecznie musiał lubować się w długachnych eksplikacjach intrygi — bo intryga „Zielonego Gila”, to pretekst tylko do zabawy, nie zaś zabawa sama w sobie.

Absolutnie niekoniecznie — przez co rozumiem jego grzech główny — musiał wymieszać XIX-wieczną farsę labichowsko-cailavetowską z XVII-wiecznym teatrem hiszpańskim z pogranicza renesansu i baroku.

Tirso de Molina jest zacięciem dramaturgiem: mało się o nim wie poza tym jednym, że łączył przewrotnie pobożne życie mnicha z niepobożnym bynajmniej widzeniem świata w swoich trzystu sztukach, że pierwszy sięgnął po mit Don Juana, odmienny później w literaturze przez tak znane nazwiska, że wyliczanie ich zda mi się tutaj zupełnie niepotrzebne. Coś z tego mitu przedostało się i do „Gila” — komedii blahej, lekkiej, urokliwej przez swój nadzwyczajny język. De Molina żyje jeszcze w sławnym okresie „jednego króla, jednego prawa, jednej wiary”, ale tyle już pęknięć w tym kanonie, tak widoczny schyłek absolutyzmu, że jakże ich mógł być nie dostrzec człowiek tak blisko z wiarą i prawem obcujący? Przeto dostrzega i demaskuje piórem, bo w życiu Bóg jeden wie, jak mu się to udaje,

że z prostego mnicha dochodzi do godności przeora zakonu, przywódzony przy tym od czasu do czasu przed oblicze osiawionej Inkwizycji.

W „Gilu” niewiele z wojującego Tirsa de Molina, bo też „Gil” jest zabawą w teatr, powiększoną przez jeszcze jedno bliskie nam nazwisko — Juliana Tuwima, który rzecz zaadaptował dla scen polskich i uczynił komedią muzyczną. Przykroił ją ze świetnego tworzywa, ozdobił soczystym humorem, z Carramanchela zrobił wykładnię plebejskiej chytrkości, z Don Ricarda operetkowego amanta, z donny Juany — Dianę, z don Martina — tchórzliwego Don Juana i przykazał na końcu bawić się nim wszystkim publiczności oraz bawić się im samym.

Z powyższego przykazania wynika więc konieczność uwzględnienia podanych przeze mnie trzech warunków na wstępie.

Reżyserką „Zielonego Gila” jest Elwira Turska. Z jej przedstawienia wynika, że dążyła do ogólnej zabawy wszystkimi dostępnymi drogami, przeto i farsową — niepotrzebną, niestety. Spektakl ma wiele pomysłów szczegółów, urodziwych drobiazgów sytuacyjnych, w których czuje się staranną rękę reżysera. Spektakl dąży do dynamiczności — przeszkadzają mu w tym dłużyny teksty, które bez uszczerbku, winny się znaleźć poza sceną (te dwie identyczne sytuacje balkonowe, z których pierwszą zaliczyłabym do świetnych; druga — do bardzo nużących). O stronie wokalne wolał powiedzieć, że się nie znam; cieszyłby się nią przypuszczalnie Bogdan Loebl, którego na łamach „Życia Literackiego” intrygowało kiedyś pytanie: kiedyż, ach kiedyż Teatr im. W. Siemaszkowej stanie się wreszcie operetką. Muzykę „Zielony Gil” zawdzięcza Andrzejowi Markowskiemu — zdaje mi się, że to bardzo ładna oprawa, nie pozbawiona akcentów żartobliwych — ale trzeba być konsekwentnym i nie rozwodzić się nad tym, czego się nie zna.

Aktorzy dali z siebie na premierze wszystko — spektakl był więc przyzwoity, oklaskiwany, z czego pozwolę sobie wywróżyć powodzenie dla niego na przyszłość; publiczność wszak lubi się bawić.

Z aktorów zupełnie wyjątko-

wym ewenementem był dla mnie Carramanchel Ryszarda Filipińskiego — tak uczciwie wojujący z głupotą w imię wszystkich organów cielesnych, wszystkich świętych i nieświętych, tak rozbrajający humorem, swobodą i wdziękiem, że nawet tylko dla niego warto byłoby ten spektakl oglądać. Poza tym Filipiński bezbłędnie uchwycił ten najtrudniejszy może dla aktora ton zabawy sobą samym, który stwarza konieczny dystans do roli, jednocześnie nie przemycając nic z farsowych gier, drażniących mnie osobiście w „Gilu” dość często.

Podziwiam także Annę Kujalowicz — Dianę i Zielonego Gila zarazem. Dźwignęła tę rolę; miała w niej momenty znakomite, cieszyła naturalnością i prostotą.

Podobał mi się Don Ricardo Józefa Onyszkiewicza i choć był rodem z farsy, nie jego winić tu wypada — więc powtarzam — był dobry i nieodparcie śmieszny.

Żałuję, że Don Martin Ryszarda Krzyżanowskiego poruszał się nader urokliwie i giętko oraz miał prawdziwie błyskotliwy monolog o szlachlicy, który zaraz szlachetnieje.

I na zakończenie powtórzę: reszta zespołu, rozgrzana premierową atmosferą, dała z siebie wszystko.

Dodać by jeszcze wypadło, że kostiumy Barbary Stopki były ładne; całkiem nieladna natomiast scenografia.

Gdyby zaś kto był ciekaw, co sądzi o „Gilu” jako pozycji repertuarowej, to mu na ucho powiem słowami piosenki, że Hiszpania za górami i karnawał z nami, a Madryt po Andaluzji dzieliła tylko „Irkucka historia”...

Teatr im. W. Siemaszkowej: Tirso de Molina — „Zielony Gil”. Adaptacja: Julian Tuwim. Reżyseria: Elwira Turska. Scenografia: Barbara Stopka. Muzyka: Andrzej Markowski. Choreografia: Zofia Wiercińska. Asyst. choreografa: Lucyna Miedlar. Oprac. wokalne: Edward Barczewski. Asyst. reż. Franciszek Buratowski. Osoby: Anna Kujalowicz, Franciszek Buratowski, Ryszard Filipiński, Adam Fernal, Ryszard Krzyżanowski, Jan Adamski, Wincenty Zawirski, Zbigniew Zaremba, Irena Chudzikówna, Józef Onyszkiewicz, Wiesława Bojadziejew, Jerzy Kułicki, Antoni Kossowski, Henryk Gońda, Józef Jachowicz. Premiera 14 stycznia 1968 r.

Zwierciadło przemian wsi rzeszowskiej

(Ciąg dalszy ze str. 1)

dzinnych i wsią „współczesną” oraz między „wsią obecną” i „miastem”, niezależnie od tego, czy przedmiotem tych aspiracji i ambicji jest „wieś” czy „miasto”.

Odzwierciedlenie w „rzeszowskich” pamiętnikach konkursowych kierunku zachodzących przemian społecznych, obyczajowych i świadomościowych dokonuje się, podobnie zresztą jak i w pozostałych drukowanych zyciorysach, na platformie zestawienia wsi dawniejszej z wsią współczesną, która w okresie międzywojennym była symbolem tak zwanej Polski B.

W zestawieniu z nędzą wsi rzeszowskiej w okresie międzywojennym tym bardziej uwypuklają się zmiany, jakie dokonały się w Polsce Ludowej. Podczas gdy dawna wieś izolowała się wyraźnie od miasta i inteligencji, zasklepiając się w swej kulturze ludowej i dążeniach ideowych — dzisiejsza dąży do jak największego zbliżenia się do niego; dla przeciętnego syna wiejskiego ideałem dziś jest życie w mieście.

Jednakże obok pozytywów zaślepiły zmiany zrodziły nowe konflikty pokoleń i przedziałów między ludźmi; idącej za postępem i duchem czasu młodzieży z kultuwującą dawny tryb życia i trzymającą się dawnych zasad generacji ich dziadów i ojców, które — jak pokazują pamiętniki — stały się przyczyną jednej tragedii i zwłoczenia życia niejednej córce i synowi chłopskiemu. Nie mogą oni bowiem zrozumieć i pogodzić się, że dziś już nie „chłopskie morgi” stanowią ideał życia młodzieży wiejskiej, lecz posiada ona wyższe już aspiracje. Lektura pamiętników pokazuje jeszcze jedno zjawisko symptomatyczne dla współczesności: wykształcanie się nowego typu inteligenta wiejskiego oraz emancypacji i rehabilitację zawodu rolnika dotychczas tak bardzo pogardzanego.

Wyraża się to między innymi w zastępowaniu dotychczasowej nazwy „chłopa” — „rolnikiem”, jako bardziej godnej dla mieszkańca dzisiejszej wsi i wolnej od pejoratywnego zabarwienia uczuciowego „chłopa” będącego pozostałością czasów pańszczyznianych.

Bogactwo problematyki omawianych pamiętników konkursowych jest tak wielkie, że prowokuje do podjęcia nad nimi specjalnych studiów naukowych, które by odsłoniły niejedno skomplikowane zjawisko w rozwoju i przemianach wsi współczesnej. Nie miejsce kreślić tu drogi, jaką przebyła wieś rzeszowska w świetle pamiętnikarskich zyciorysów. Poprzestając tylko na wskazaniu zagadnienia, chcemy stwierdzić, że zaprowadziła ona od dawnej izolacji wsi i jej antyurbanistycznego nastawienia, do włączenia się jej mieszkańców w nurt życia jako pełnoprawnych obywateli Polski Ludowej.

Bogatej zawartości problemowej drukowanych pamiętników, obejmującej zasadnicze symptomy przemian społeczno-ustrojowych na tle wydarzeń historycznych, sekunduje rozległy ich zasięg geograficzny. Wśród opublikowanych zyciorysów znajdujemy pamiętniki autorów z Krosnieńskiego, Tarnobrzckiego, Rzeszowskiego, Łańcuckiego, Brzozowskiego, Kolbuszowskiego, Przemyskiego i Ustrzyckiego. Tak rozległa geografia pamiętników pozwalała zatem na odzwierciedlenie i ujawnienie szeregu różnorodnych faktów z tymi terenami związanych, których niejednokrotnie nie wzięli na swój warsztat naukowy zawodowi historycy.

Sumując powyższe uwagi, stwierdzic trzeba, że kontynuowane wydawnictwo stanowi nieźle zwierciadło życia pokolenia wsi, które wzięło udział w konkursie. Tego zwierciadła nie zdoła zastąpić żadna najlepsza powieść ani opracowanie naukowe.

Teatry moskiewskie na jubileusz Gorkiego

Poczesne miejsce w repertuarze wielu teatrów moskiewskich zajmują sztuki Maksyma Gorkiego, którego 100 rocznica urodzin obchodzona będzie w marcu br.

Znany moskiewski teatr „Sowremiennik”, który gościł niedawno w Polsce, wystawi sztukę „Na dnie”. Oryginalną premierę przygotowuje w Teatrze na Tagance reżyser Lubimow. Przedstawienie nosić będzie tytuł „Człowiek” i składać się będzie wyłącznie z wypowiedzi Gorkiego. Zainteresowanie budzi również spektakl, który reżyser Lwow-Anochin wystawi na scenie Teatru Dramatycznego im. Stanisławskiego. Utwór ten pt. „Gorki i Lenin” reżyser oparł na listach, dokumentach, notatkach pisarza.

Obok premier liczne teatry wznowią sztuki Gorkiego. MCHAT włączył ponownie do repertuaru „Barbarzyńców” i „Wrogów”. Teatr Mały wystawi sztukę „Starzec”, którą Gorki napisał w r. 1915 i w której kontynuował swą dawną polemikę o charakterze moralno-filozoficznym z Dostojewskim. Warto wspomnieć, że sztukę tę wystawił po raz pierwszy ten sam teatr w r. 1919.

Ciekawie zapowiadają się również inne premiery moskiewskie. Teatr im. Wachtangowa wystawi nową sztukę współczesną Sałyńskiego pt. „Męskie rozmowy”. MCHAT przygotowuje spektakl oparty na noweli Konstantego Simonowa „Dymy ojczyzny”. W utworze tym autor opowiada o trudnej sytuacji w pierwszych latach powojennych. Na scenie Teatru im. Mossowie-tu widzowie zobaczą sztukę Maługińska „Życie Saint-Exupery’ego”. W Teatrze Armii Radzieckiej odbywają się próby nowej sztuki Wiery Panowej „Nadzieja Miłowanowa”, w Teatrze Małym zaś — sztuki Korniejczuka „Moi przyjaciele”. Najbliższe plany Teatru im. Komsomolu Leninowskiego obejmują nowy utwór Michalkowa i Nieczajewa „Cena człowieka”, a Teatr Dramatyczny na Małej Bronnej wystawi nową sztukę znanego dramaturga Arbusowa „Szczęśliwe dni nieszczęśliwego człowieka”. (Kl-PAP)



Synagoga w Lesku

FOT. M. KOPEĆ

POUR LA HEC!

Analogie z rajem? — Nie, słuchacz drogi, ty nie denerwuj się, tu nie ma analogii; tu wszystko pour la hec. A że biblijny Cham z czymś bliskim i współczesnym ci się kojarzy? Ze Wieża Babel coś przypomina? Ze Mojżesz namawia do przepiórek i zerwania z wiarą w mannę? Ze złoty cieciec po prostu bliższy w środku pustyni? Ze w Arce Noego po parce zwierząt o nazwach osobliwie nieponętnych? Ze przewiduje się równie osobliwy run na barany popopotowe? To też dla hecy. Wszystko dla hecy. Słowem — rzecz pour la hec! Nawet tytuł „A to ci raj”...

Oglądam już ten program „Jamy Michalikowej” po raz drugi po rocznej przerwie i odnowsz wrażenie, że takie hece są trochę ponadczasowe i w ogóle nie mają zamiaru się starzeć, jeśli są zrobione z dowcipem i podane nie po amatorsku. Rzekłabym nawet, że bez tych pufów michalikowych, bez szopek na ścianie, bez rysunków zwańionych i czarownych zarazem, bez krzywej Bramy Floriańskiej, bez tańczących z wiatrem i balonikiem u czubka wież mariackich, bez ducha więc secesyjnego, który po stylowo odnowionej „Jami” snuje się ciągle — heca nabiera ostrości. Tam — wielkie spraw odrealnienia widziałam i sam śmiech; w teatrze rzeszowskim, w klimacie zmienionym, w dużej przestrzeni sceny, zamkniętej z trzech stron surową szarością kotar, z czwartą — zwartą i gotową do śmiechu widownią — to wszystko mniej miało cech kabaretu, więcej — widowiska satyrycznego.

I przypominam sobie, że prakabaret Zielonego Balonika zaczął się przed sześćdziesięciu parą laty tylko z sosem — jak pisał Boy — ale bez pieczeni. Cóż to był ów sos? Właśnie klimat komicznej cukierni, lby, z których się kurzyło i opowieść Jana Augusta Kisielewskiego, który dopiero co wrócił z Paryża i pisał zachwyty o tamtych kabaretach. Wiedzianno tyle, że musi być dowcip, piosenka i konferansjer. Toteż bez zbędnych ceregieli Jan August podjął się konferansjerki przed obliczem gęsto usadowionej braci malarskiej i zaczął ją od tego, że zwymyślał tę brać od bydła. Najzwyklejniej spity, zakończył efektowny popis rzuceniem się z gołymi rękami na tę publiczność — po czym go rozbrojono, ułożono w kacie do

śnu, no i dlatego Boy napisał, że sos był — pieczeni nie było. Przez pieczeń rozumiał naturalnie słowo. Słowo literackie. Specyficznie dowcip zagęszczające. Myśl zabawy.

Powstała ta myśl — dziś wymyślnie zwana koncepcją, wraz z „Wawelami” Noskowskiego i obrazowała komiczne projekty przebudowy zamku wawelskiego. Konferansjerem na lat pięć został po niesławnie spitym na inauguracji Janie Augustie — Stanisław Sierosławski, a wykonawcą niemal dożywoćnym w „Baloniku” — Teofil Trzciniński. I dopiero wtedy zabawa się zaczęła: najpierw ewokując wśród krakauerów najdziksze plotki i komentarze, później urastając do rangi symbolu nowej mentalności, aby osiągnąć apogeum w okazałej postaci hrabiego Tarnowskiego, który wraz ze swą córką, hrabiną Esterhazy, zasiedli na specjalnie dla nich przyniesionych przez roztrzęsionego Michalika fotelach — tronach z prywatnych apartamentów gospodarza. Starzewski w „Czasie”, dławiąc się ze śmiechu, pisał wtedy: „Ci ludzie śmieją się z tego, co ich zabije”. „Nie zabito” — dodał komentarz Boy. I Boy wtedy chyba się pomylił...

Śmieszność zawsze zabija. Śmieszność paraliżuje bezkarności. Śmieszność ściąga z piedestałów. Śmieszność budzi z drzemki. Uwrażliwia. Toteż Zielony Balonik z bukiem obalił parę autorytetów i uwrażliwił zakwaszony Kraków na walkę z nudą oraz głupotą. Zrobił to po raz pierwszy.

Dzisiejsza „Jama Michalikowa” nie jest szopką, jak Zielony Balonik. Ale jest dobrym kabaretem, bardzo współczesnym. Zdumiewa mnie, że wstępując w miejsce tak szacownej i ogólnie znanej tradycji, jednocześnie tak przemyślnie do niej nie nawiązuje. Byłoby to na pewno łatwizna, choć łatwizna natrętnie się narzucająca, a więc zawierająca momenty przebaczenia już u podstaw. Pozornie nic tej pary nie łączy. Ale to tylko pozory. Bowiem kabaret „Jamy Michalikowej” jest dziś jednym z bardzo niewielu w Polsce, gdzie nie ma ucieczek w dwudziestolecie, gdzie nie otrzępuje się z kurzu pań bojących się spać samotnie i małych gigolo, gdzie nie upycha się błędnych dowcipów o przebrzmiałym problemie,

gdzie nie hołduje się recepte: „bierze się jedną piosenkarkę, doprawia tandetą, gołymi nogami, bierze zwiędłego konferansjera i piecie”.

„Jama Michalikowa” ma trzy dobre pióra (przypomnijmy Mieugowa, Kwiatkowskiego, Stworę), jednego muzyka z prawdziwego zdarzenia — Lesława Lica, trzy powszechnie znane z dobrego aktorstwa panie: Kamińską, Kwiatkowską i Stebnicka oraz czterech panów, z których Cebulski jest ulubieńcem krakowskiej publiczności, Sadecki jest ulubieńcem krakowskiej publiczności, Walczewski jest ulubieńcem krakowskiej publiczności i Jablczyński też.

Jeśli się śpiewa — to nie dla popisu wokalnego, lecz dla celowej interpretacji tekstu i dla zdwojenia efektu mariażem znanej melodii z zupełnie nowymi słowami (niezawodna wszak była aria operowa solisty Sadeckiego); jeśli się mówi czasem banal — to zawsze ozdobiony aktorstwem — a więc na nowo śmieszny; jeśli się wstawia kupiec — to darowuje się go tej publiczności, której rodowody płyną bądź prosto ze Szlaku pierwszego dziesięć lat naszego stulecia (a są ci te rodowody jeszcze u nas pielęgnowane, choć widzę tu raczej związki u podobnych aniżeli generacji), bądź też, która miała przyjemność po raz pierwszy... Przeto zabawa jest powszechna, a śmiejemy się trochę z siebie, trochę z bliźnich i trochę z mitycznego zaimka „oni” — a więc toutes proportions gardees — jak mawiają Francuzi i co poczciwi Polacy. Na nie też, te wyważone proporcje satyry, zawsze zamknięte w całość, ostatnio rajowo-ziemską bez żadnych analogii, bez wstawiania autorom aluzji, jakichkolwiek drugich den, gotujemy się po raz trzeci za następne parę tygodni. I jeśli coś można podpowiedzieć rzeszowskiej Estradzie — pomyślowej organizatorce, to uczynię to niniejszym, proponując „Tredowatego”, czyli najnowszy program „Jamy”. Dlaczego? — Po prostu dlatego, że są w nim jeszcze uroki świeżości, że pasjonuje się nim w chwili obecnej cały Kraków i co ruchliwsi recenzenci teatralni z całej Polski. I że znajomi coraz częściej pytają mnie, skąd by tu wypoczyść dzieło pani Mniszek... Naturalnie pytają pour la hec!

KRYSZYNA SWIERCZEWSKA

Zdzisław Kozioł

Wychowawcze

Dziewczynka jest świadoma swej ciężkiej choroby; rodzice orzekli, że cierpi na poważną wadę serca. Myśląc ustawicznie o swej niepełnej sprawności fizycznej, staje się inna niż jej koleżanki, jest pełna kompleksów, przysparza kłopotów szkole i otoczeniu. Psycholog ma zalecić środki postępowania z chorobą uczennicą. Wpierw kieruje ją do lekarza, znanego specjalisty, który autorytatywnie stwierdza, że serce jest zdrowe. Dziewczynka upiera się przy swej chorobie, ale doświadczony psycholog cierpliwie wyjaśnia, mówi o nerwicach, skutkach ulegania sugestii i autosugestii... Widocznie przekonywająco, bo podopieczna uradowana wybiega z gabinetu. — Jestem zdrowa!

O potrzebie współdziałania lekarza i psychologa w trudnych do wyjaśnienia przypadkach zalemań psychicznych u młodzieży świadczy też przykład chłopca, który bez większych trudności doszedł do klasy VIII i nagle przestał się uczyć. Skierowano go do Okręgowej Poradni Wychowawczo-Zawodowej. I znów diagnoza zapadła po uprzednich badaniach lekarskich. Okazało się, że ten wyrosnięty, dryblasowaty chłopiec ma proporcjonalnie do swego wzrostu niedowagę 15 kilogramów. Nadmierna waga fizyczna powoduje niewydolność umysłową i — jak określają psychologowie — męczliwość psychiczną; chłopiec szybko się męcząc, nie potrafi wystarczająco długo pracować nad książką, nie może podjąć obowiązku szkolnym. A więc nie lenistwo jest powodem słabych wyników w nauce....

Średnio zdolny uczeń IX klasy liceum ogólnokształcącego otrzymał aż 7 dwój. — Jestem najgorszy w klasie — mówi w Poradni, ale psycholog nie spieszy się z diagnozą. Lekarz stwierdza nerwicę, a psycholog wrodzoną nieśmiałość oraz pogłębiającą się wadę wymowy, co w sumie utrudnia postępy w nauce. Psycholog zaleca zmianę środowiska, zamieszkanie w internacie, podjęcie nauki w zasadniczej szkole zawodowej, nie tyle z uwagi na jego mierne zdolności; zmiana środowiska jest w tym wypadku wstępnym warunkiem reedukacji, w wyniku której odzyska wiarę w siebie. — Ważne są w tym wypadku — mówi kierownik Poradni, mgr Krystyna Kulowa — zajęcia warsztatowe, stanowiące formę terapii zajęciowej. Ale chłopiec na swój sposób jest ambitny i robotnikiem nie chce zostać... Czy przekonała go pierwsza rozmowa? Dotychczas wiedział, że jest najgorszy w klasie, w domu zaś ojciec nie szczędził mu uwag i epitetów wypowiedzianych podniesionym głosem.

Jedno jest pewne: ten „najgorszy” znalazł już opiekę, zapoczątkowano jego reedukację. Przykłady, o których skróto, lecz w miarę wiernie, opowiedziałem, mogą być osnową rozważań na temat szkoły, rodziny, i młodzieży w ogóle. Przeglądniętym jednak grube teczkę skierowałam do Poradni; te jeszcze nie załatwione sprawy stawiają nas wobec indywidualnych problemów, z których niejednym jest wręcz tragiczny... Należy więc zachować ostrożność w lansowaniu sądów uogólniających.

Ow licealista, posiadacz 7 dwój, nie chce zostać robotnikiem. Z taką postawą spotykam się nie pierwszy raz; wielu rodziców uważa, że ich dzieci z takich czy innych względów nie powinny być robotnikami i dlatego szukają dla nich miejsca w liceum lub technikum. Pani Kulowa, mówiąc mi o badaniach zainicjowanych w rzeszowskiej Poradni

Wychowawczo - Zawodowej, wspomniała o repetentach w liceach ogólnokształcących. Zazwyczaj mówimy, że uczeń repe-tuje, bo się nie uczy, albo „nau-czyciel się uwziął”. Mgr Kulowa przyznała, że początkowo sądziła, że repetentami są przede wszystkim uczniowie o miernych zdolnościach, ale chcąc wszechstronnie poznać zagadnienie, postawiła repetentom klasy IX liceów ogólnokształcących m. in. takie pytanie: — Czy po skończeniu szkoły podstawowej miałeś zamiar pójść do liceum? Okazało się, że większość z badanych bynajmniej nie upodobała sobie tej szkoły; kazali rodzice, bądź też w innych szkołach, do których składali egzamin wstępny, zabrakło miejsc i komisje rekrutacyjne skierowały ich właśnie do liceum. My, dorośli, zazwyczaj nie osiągamy większych sukcesów w pracy zawodowej, jeśli — jak to się zwykło mówi — nie mamy do niej serca.

I znów okazja do refleksji o charakterze ogólniejszym, ale por-przeistamy na sprawach wymiarnych. Myślę o preorientacji zawodowej, a konkretniej — wyborze zawodu. Rzeszowska Poradnia przebadala blisko tysiąc kandydatów do technikum; dużo, bo Rzeszów posiada parę atrakcyjnych szkół tego typu. Zdecydowana większość tych, którym psychologowie zalecili pójście do technikum, złożyła pomyślnie egzamin wstępny i podjęła naukę. Odradzono naukę 461 kandydatom; 212 rady nie posłuchało, z których tylko 18 poddało wy-mogom egzaminu wstępnego.

W rzeszowskiej Poradni udostępniono mi ciekawe wyniki badań, które wskazują, że pracujący w niej specjaliści zastanawiają się nad faktyczną przydatnością ich prognoz. Sledzą losy młodzieży, której udzielano porad zawodowych; w zasadzie uzyskują potwierdzenie słuszności stawianych przed paru laty diagnoz. Wprawdzie pani Kulowa nie upiera się, że wyniki badań są dostatecznie reprezentatywne, ale dochodzi do znamiennego wniosku: gdyby kandydaci do technikum posłuchali zaleceń psychologów, odsiew w tych szkołach zmniejszyłyby się prawie o połowę, z wynoszącego przeciętnie dla woj. rzeszowskiego 40 proc. do 23 proc.

Psycholog nie jest wróżką, która przewiduje losy człowieka; psychologia to trudna i społecznie coraz użyteczniejsza dyscyplina nauki; pani Kulowa opowiadała mi o metodach stosowanych na Zachodzie i krajach skandynawskich, konkretnie w Szwecji, gdzie miała okazję sporo zobaczyć i przenieść na rzeszowski, a raczej polski grunt, bo doświadczenia rzeszowskiej Poradni są doceniane poza naszym miastem... Ale psycholog w PRL stoi wobec wielu problemów, naszych, swojskich; stąd konieczność poszukiwań, potrzeba zastosowania odpowiednich metod badawczych, a co chyba najważniejsze — upowszechnienia tych wyników. A jakże często zwyczajne poinformowanie zainteresowanych chroni ich przed przykrymi nieporozumieniami. Przykład? Otrzymałam kiedyś skargę matki, która zaliła się na dyrektorkę technikum za nieprzyjęcie jej uzdolnionego, lecz leworęcznego syna. Leworęczny w takiej szkole nie może się uczyć, ale należało matce, nb. starej, schorowanej kobiecie, wyjaśnić dlaczego i poradzić, co ma z chłopcem zrobić.

W planach badawczych rzeszowskiej Poradni uwzględnia się i tę młodzież. W toku są badania motywacji wyboru zawodu przez XI-klasistów, zwłaszcza dziewczęta. Ciekawe wyniki przyniosą

pogotowie ratunkowe?

także badania przyczyn niewypełnienia obowiązków szkolnego oraz badania młodzieży ociążonej umysłowo. Nie wymieniałem wszystkich tematów, a każdemu z nich należałoby właściwie poświęcić oddzielny artykuł.

Weźmy chociażby zagadnienie dzieci i młodzieży ociążonych umysłowo. Uczniowie ci charakteryzują się m. in. powolniejszym tempem myślenia, zmniejszonymi zainteresowaniami; długie godziny ślęczą nad książką, zanim opanują zadany materiał. W szkole nazywa się ich niekiedy tumanami; jakże często szkoła wobec tej młodzieży postępuje niewłaściwie, nie ze złej woli, lecz z powodu niewystarczającej znajomości problematyki psychologicznej. Dla specjalistów symptomy ociążalności nie są obce, ale jakie praktycznie stosować środki zaradcze? To problem ostry i zarazem pilny. Wspomniałem o grubych tęczkach jeszcze niezafalowanych spraw w rzeszowskiej Poradni. A ile trudnych przypadków nie zgłoszono?

Do szczególnie drastycznych spraw można chyba zaliczyć problem nerwic szkolnych, na które zresztą cierpią nie tylko uczniowie ociążeni umysłowo. Upraszczając, można powiedzieć, że u źródeł nerwic leży m. in. lęk przed niepowodzeniem; uciekał się nauczyciel, występują zahamowania charakteryzujące się brakiem natychmiastowej odpowiedzi. Z czasem wytwarza się u nich poczucie niesprawności, występują przeróżne kompleksy o coraz poważniejszych następstwach, a gdy dołączają się jakieś schorzenia, wówczas sytuacja jest naprawdę krytyczna.

Uwzględniając chociażby przykłady podane na wstępie, wiele

problemów wychowawczych można skutecznie rozwiązywać wspólnym wysiłkiem pedagoga, lekarza i psychologa. Żywię duży szacunek do zawodu nauczycielskiego, ale nie każdy nauczyciel jest psychologiem i pedagogiem, a także nie każdy lekarz szkolny dostrzega wychowawczy aspekt swej działalności zawodowej.

W Rzeszowskim utworzono dotychczas 11 poradni wychowawczo-zawodowych, a do 1970 r. mają one powstać w pozostałych powiatach, jeśli oczywiście chętni do tej pracy specjaliści — a tacy są — otrzymają mieszkania. Już o tym pisałem przed paru miesiącami, więc wątku nie będę rozwijał. Dotychczas nie ma w Rzeszowskim za wielu psychologów, za mało, by zorganizować oddział Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, o wiele za mało, by sprostać bieżącemu zapotrzebowaniu na różnorodne usługi, o które proszą szkoły czy rodzice. W pewnym sensie poradnie spełniają rolę wychowawczego pogotowia ratunkowego, udzielają rad, stawiają diagnozy, uprawiając przy tym pracę naukowo-badawczą, której rezultaty warto szerzej upowszechnić, może w postaci jakiejś publikacji z okazji zbliżającego się 10-lecia powstania tych zasłużonych dla wychowania i oświaty placówek. Sądzę, że prezentacja osiągniętych w Rzeszowskim wyników byłaby dla wielu swego rodzaju zaskoczeniem, że mimo szczupłego grona psychologów tak dużo zrobiono, co zauważyli już specjaliści w innych ośrodkach. I tej pozausługowej działalności poradni trzeba poświęcić więcej uwagi; nie rezygnując z funkcji

swego rodzaju wychowawczego pogotowia ratunkowego, placówki te powinny wypracować diagnozy pomagające władzom oświatowym i instytucjom wychowawczym podejmować decyzje o charakterze ogólnym.

W zasadzie władze oświatowe, o czym się niejednokrotnie przekonałem, doceniają rolę i znaczenie poradni, ale czy każdy kierownik potrzebuje ekspertów? Mógłbym kogoś urazić, dając odpowiedź jednoznacznie, ale kilku znanych mi kierowników dobrych szkół podstawowych (za dobrą szkołę uważam tę, która wykazuje się wysoką sprawnością, a jej absolwenci są przygotowani do kontynuowania nauki) chętnie korzystają z usług psychologa.

Tak pojęta rola psychologa i w ogóle poradni nakłada szczególne obowiązki, do których pełnienia nie wystarczy tylko sam dyplom uniwersytecki; poza praktyką i doświadczeniem niezbędne tu jest szczególne poczucie odpowiedzialności. Tą uwagę przejdę do zagadnienia nie związanego bezpośrednio z tematem; na usługi psychologa zgłasza zapotrzebowanie nie tylko szkolnictwo, lecz także przemysł, który np. oferuje im lepsze warunki. Spotykałem już dorosłych socjologów, których, pozał się Boże, działalność była wysoce irytująca, natomiast nieudoczony lub nieodpowiedzialny psycholog jest wręcz szarlatanem. I to twierdzenie nie jest bez pokrycia. Dlatego właśnie wspominałem, że już wkrótce będzie można utworzyć w Rzeszowie oddział PTP, który głównie — jeśli oczywiście powstanie — skupi psychologów z poradni i kilku z przemysłu.

Zakres ich zadań jest różny, ale chodzi o stworzenie warunków do wymiany doświadczeń, pogłębiania wiedzy i wspólnego wypracowywania metod badawczych. Najdodniejszy nawet psycholog, pozostawiony sam sobie, boryka się z poważnymi trudnościami w pracy zawodowej.

Najlepszy rysunek i grafika miesiąca

Jak już informowaliśmy, województwa rzeszowskiego, którzy do 10 każdego miesiąca nadesłać pracę opatrzoną godłem, pod adresem: Związek Polskich Artystów Plastyków, Redakcja „Nowin Rzeszowskich”, wydział kultury Prez. WRN i MRN oraz Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, ogłaszając stały konkurs w 1968 roku „Na najlepszą grafikę i rysunek miesiąca”.

W ubiegłą niedzielę, w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Rzeszowie, jury pod przewodnictwem Renaty Niemirskiej-Pisarek po przeanalizowaniu 15 nadesłanych prac, stwierdziło, że poziom ich jest wysoki i wyrównany.

Najlepszym rysunkiem miesiąca okazała się praca IRENY WOJNICKIEJ pt. „Godzina marzeń”, a najlepszą grafiką — linoryt JÓZEFA GAZDY pt. „Dzieci w płaszarni”.

Przypominamy, że w konkursie na najlepszą grafikę i rysunek miesiąca mogą brać udział wszyscy plastycy z

województwa rzeszowskiego, którzy do 10 każdego miesiąca nadesłać pracę opatrzoną godłem, pod adresem: Związek Polskich Artystów Plastyków, Rzeszów, ul. 1 Maja, sekcja ogólna.

Organizatorzy informują równocześnie, że w miarę rozwijania akcji konkursowej, przewidują rozpisanie ankiety wśród publiczności oraz dyskusje w klubie.

Reprodukuje najlepszy rysunek i grafikę miesiąca zamieścimy w następnym numerze „Widnokragu”.

W dniu dzisiejszym, o godz. 17 w Domu Sztuki w Rzeszowie otwarte zostaną wystawy:

„Malarstwo, grafika, rzeźba” Tarnowskiego Oddziału ZPAP;

Wystawa konkursowa z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej i 25-lecia powstania PPR;

Wystawa malarstwa Edwar- da Kieferlinga.

O trudnych latach...

Nakładem „Książki i Wiedzy” ukazała się pozycja nosząca tytuł „W walce o utrzymanie władzy ludowej w Polsce 1944—1947”. Jest to zbiór artykułów mówiących o trudnych latach, kiedy młoda władza ludowa toczyła walkę z reakcyjnym, wrogim podziemiem. Książka ta omawia ogólną sytuację w Polsce w latach 1944—1947 na tle zmian w układzie sił klasowych i politycznych (Władysław Góra), następnie charakteryzuje podziemie poakowskie (Stanisław Piechowicz), endeckocenerowskie (Wacław M. Król), ukraińskie nacjonalistyczne podziemie zbrojne (Wiesław Szota), podziemie hitlerowskie i jego antypolską działalność na Ziemiach Zachodnich i Północnych (Ryszard Halaba). Czterech dalszych autorów (Feliks Kubica, Zenon Jakubowski, Jan Czapl, Wiesław Szota) omawia walkę organów bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej,

Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego i jednostek ludowego Wojska Polskiego ze zbrojnym podziemiem na terenie Polski. Następnie cztery szkice przedstawiają sytuację na terenie województw białostockiego, lubelskiego, kieleckiego i krakowskiego.

Nasze województwo, które tak wiele ucierpiało na skutek działalności rodzimej i obecnej reakcji nie ma poświęconego odrębnego rozdziału, niemniej jednak w każdym prawie artykule jest mowa o likwidowaniu band lub o ofiarach i niedobitkach przeszłości. Najwięcej miejsca poświęca Rzeszowszczyźnie Wiesław Szota, nieco mniej autorzy w rozdziałach omawiających przebieg walk. Z naszym województwem związanych jest prawie 30 zamieszczonych w książce fotografów.

W sumie wydawnictwo potrzebne, ukazujące trud, ofiarę i wysiłek sił postępu, którym przewodziła PPR.

Współpraca kulturalna z zagranicą w 1967 roku

Współpracę kulturalną z zagranicą trudno ujmować jedynie statystycznie. Niemniej niektóre liczby mówią same za siebie. Oto podsumowanie naszych kontaktów kulturalnych z zagranicą w ub. roku dokonane przez przedstawiciela PAP w oparciu o dane BWKZ.

Nasza plastyka reprezentowana była na 41 międzynarodowych wystawach, wśród nich na Biennale w Sao Paulo, Biennale Młodych w Paryżu, III Biennale Tkaniny w Lozannie, wystawie ceramiki artystycznej w Stambule, grafiki w Lublanie, Quadriennale Scenografii w Pradze. Polscy artyści uzyskali łącznie 20 nagród na wystawach, a 3 na konkursach. Wydarzeniem stała się Międzynarodowa Wystawa Plakatu Rewolucyjnego, związana z 50 rocznicą Wielkiego Października, zorganizowana z inicjatywy Muzeum Im. Lenina w Warszawie. W imprezie uczestniczyło 27 krajów. Zaprezentowano łącznie 480 prac.

W Polsce eksponowano 24 wystawy nadesłane z 19 krajów. M. in. politycznej karykatury radzieckiej, malarstwa angielskiego od Hogartha do Turnera, rysunku i akwareli francuskiej od Matisse'a do czasów dzisiejszych, współczesnej grafiki francuskiej, wznictwa przemysłowego z NRD, Szwecji, NRF.

Polscy muzycy uczestniczyli m. in. w Holland Festival (Chór Filharmonii Krakowskiej pod dyr. Henryka Czyżę), na festiwalach w Montreux (WOSPR z chórem Radia Krakowskiego), w Turku w Finlandii (orkestra Rozgłośni Wrocławskiej pod dyr. Kajdasza), w Berliner Festtage (Filharmonia Narodowa). Nasze zespoły muzyczne koncertowały w Anglii, Australii, CSRS, Jugostawii, Szwajcarii, we Włoszech i innych krajach.

Polscy soliści brali udział w 15 międzynarodowych konkursach muzycznych (m. in. w Verbies w Belgii, w Paryżu, Rio de Janeiro, Genewie, Tuluzie, Monachium), uzyskując łącznie 14 nagród i wyróżnień. Dużym sukcesem Witolda Lutosławskiego było zdobycie dwu nagród: im. Gottfrieda Herdera przyznanej przez Uniwersytet Wiedeński oraz im. Leonie Sonning w Kopenhadze. Dalszych wykonawców doczekała się „Pasja” Pendereckiego, m. in. w Turynie, Londynie (dwukrotnie), Belgradzie, Zagrzebiu,

Lublanie, Dubrowniku, Rotterdamie, Amsterdamie, Sztokholmie i Paryżu.

Wielkie triumfy święcił młody skrzypek Konstanty Kulka oklaskiwany na estradach: Wiednia (dwukrotnie), Berlina, Londynu (dwukrotnie), Zurychu, Bazylei, Lucerny, Berna, Amsterdamu, Hagi, Kolonii, Frankfurtu. Gościliśmy w minionym roku szereg zagranicznych zespołów muzycznych. W pamięci melomanów na długo pozostanie wizyta w Warszawie Teatru Wielkiego z Moskwy. W tym samym czasie Teatr Wielki z Warszawy oklaskiwany był w stolicy ZSRR. Występował u nas m. in. Balet Królewski z Danii i Staatsoper z Berlina. „Mazowsze” odbyło m. in. tournée po Australii — jedynym kontynencie, który nie gościł dotychczas tego zespołu.

46 polskich filmów wyświetlanych było na 75 festiwalach i przeglądach. Uzyskaliśmy 64 nagrody i wyróżnienia (m. in. za filmy „Westerplatte” w Moskwie, „Bokser” w Wenecji, „Jowite” w San Sebastian, „Salto” w Edynburgu, „Rodzinę człowieka” w Montevideo).

Nasz teatr reprezentowany był na międzynarodowych festiwalach m. in. przez Teatr Narodowy w Londynie („Historia”) i w Wenecji („Żywy Józef”), „Teatr Laboratorium” z Wrocławia na Holland Festival („Akropolis”), w Spoleto (Włochy) oraz na Biennale teatrów awangardowych w Belgradzie („Książę Niezłomny”). Natomiast w kraju gościliśmy pokazną łąkę teatrów zagranicznych, w tym wiedeński Burgtheater, Narodni Divadlo i Teatr Miejski z Pragi, Teatr z Oslo, Teatr Narodowy z Budapesztu, Theatre du Parc z Brukseli, Citizens Theatre z Glasgow, a ostatnio — „Sowremiennika” z Moskwy.

W 1967 r. odbyło się w naszym kraju 9 poważnych międzynarodowych imprez artystycznych: Targi Książki, krakowski Festiwal Filmów Krótkometrażowych, Festiwal Piosenek w Sopocie, Warszawska Jesień, III Międzynarodowy Konkurs Lutniczy, V Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. H. Wieniawskiego, Jazz Jamboree i in.

Dodajmy na zakończenie, że w ub. roku Agencja Autorska zawarła ok. 280 umów na przekłady polskich książek i sztuk.

(Kt—PAP)



FOT. M. KOPEC

JAK ZARECYTYWALI SIĘ Z MATYŁDĄ

KALMAN SEGAL

Przyjaciel przybiegł do mnie uradowany wymachując gazetą. — Patrz! — powiedział. — Jest tu kilka interesujących ogłoszeń matrymonialnych, powinieś je przeczytać, być może znajdziesz w nich swoje szczęście.

Podał mi gazetę, ale zanim ją znalazłem okulary, on sam zaczął czytać:

„Dystygowana i niezależna, o niebieskich oczach i stęsknionym sercu, poszukuje dożgonnego towarzysza. Wiek, pleć i charakter obojętne. Oferty z fotografią i znacznikiem pocztowym na odpowiedź pod ścisłą dyskrecją, poste restante „Synogarlica”.

— No i co? — zapytał podniecony przyjaciel. — Co o tym sądzisz?

— Nic nie sądzę — odparłem. Nigdy nie widziałem Synogarlicy i to mnie trochę niepokoi.

— No, poczytajmy dalej — zaproponował przyjaciel i przeczytał następną ogłoszenie: „Przystojna, szczupła i niezamężna, ma wesołe usposobienie i własne mieszkanie z werandą. Poszukuje czulego ojca dla swego 16-letniego synka. Małżeństwo nie wykluczone”.

Ależ to w sam raz partia dla ciebie. I zaczął mnie zachęcać i namawiać: ty lubisz kobiety przystojne i ona jest przystojna. Ona szuka czulego ojca dla swego 16-letniego synka, a ty jesteś właśnie czuły i całe życie marzyłeś o tym, żeby mieć synka.

— To już mi minęło — powiedziałem. — Teraz wolalbym mieć córkę. Czytaj dalej.

I przyjaciel czytał dalej: „Samotny kawaler o nienaganej przeszłości znajdzie szczęśliwą przystań, kochającą i materialnie niezależną żonę oraz ustosunkowanych krewnych. Oferty sub: „Dozgonna”.

To ogłoszenie bardzo mi się podobało, można powiedzieć, że pod względem literackim było pierwszorzędne. Szczególnie przypadły mi do serca słowa o „szczęśliwej przystani”, chociaż nie jest wykluczone, że pod tym określeniem mogła się kryć jakaś perfidna zasądka.

— Nie ma życia bez ryzyka — powiedział pocieszająco przyjaciel. — Ale posag ona ma. A to jest ważne.

— Na pewno — przyznałem, raz jeszcze dokładnie czytając tekst ogłoszenia. — Na pewno ma posag. Pewnie córka jakiegoś budylnika.

— Nie wiadomo — powiedział przyjaciel. — Może być z branży usługowej, albo z drobnej wytwórczości.

Zaczęliśmy się zastanawiać kim są ci ustosunkowani krewni. Może mają jakiegoś ministra w rodzinie? Przyjaciel zastanowił się i powiedział, że ministra może nie mają, ale mogą mieć kogoś w urzędzie kwaterunkowym, albo w sklepie komisowym.

Postanowiliśmy napisać list, ja pisałem, a mój przyjaciel dyktował: „Droga Pani! Jeśli w życiu istotne jest coś — przypadek ślepego losu lub nieznaną siłą tajemniczego przeznaczenia, kierującą naszymi krokami — błogosławie przypadek i błogosławie siły, które skłoniły mnie do przeczytania tych kilku słów o

Pani i o jej najgłębszych tęsknotach. Snie o Pani, widzę ją oczyma wyobraźni, przeczuwam, że to właśnie o Pani marzyłem przez wszystkie lata mojej samotności nienaganej, wyczekującej, spragnionej, jak... jak... jak co?

Jak wielbił na pustyni Kolorado — odpowiedziałem.

— Dobrze — zgodził się mój życzliwy przyjaciel. — I sądzę, że to wystarczy.

Istotnie, list zawierał to, co najważniejsze. Dopisałem jeszcze zakończenie: „Łączę wyrazy szacunku i poważania i pozostaję w oczekiwaniu odwrotnej odpowiedzi”. Ale to zakończenie nie spodobało się mojemu mądremu przyjacielowi, który poddyktował mi inne zakończenie, bardziej literackie. Brzmiało ono tak: „Dzień, w którym ujrzą Panią moje oczy, będzie najpiękniejszym dniem w moim życiu”.

Podpisałem się, list zanieśliśmy na pocztę. Po tygodniu nadeszło zaproszenie i pewnego dnia o zachodzie słońca wybrałem się z pierwszą wizytą do mojej ukochanej. Drzwi otworzył mi starszy pan o surowym spojrzeniu.

— Chciałem się zobaczyć z córeczką — powiedziałem nieśmiało.

— Proszę wejść — odparł niechętnie i kazał mi zdjąć palto.

— Może nie warto — szepnąłem rumieniąc się jak dojrziała wiśnia. — Ja tylko na chwilę, zerknę i pójdę sobie.

— Co! — wrzasnął ojczulek. — Zerknę i pójdę? Nie u mnie i nie dzisiaj. Mam tego dość. Proszę zdjąć kalosze!

— Proszę pana, ja nie noszę kaloszy — wyjaśniłem.

— No, dobrze. Niech pan już wreszcie wejdzie.

Weszliśmy, a starszy pan zapytał co wolę — wódkę czy likier. Odpowiedziałem, że nie piję.

— Chciałem pana poddać próbie — powiedział mój przyszły teść.

— Domyśliłem się — odpowiedziałem uśmiechając się chytrze.

— Jak przedstawia się pański stan majątkowy? — indagował mój nieublagany przyszły teść.

— Raczej nie — odpowiedziałem. — Majątku raczej nie posiadam.

— Rozumiem — mruknął panuro starszy pan i zaraz mnie pocieszył: No, cóż... Ubóstwo nie hańbi.

Potem zapytał z czego żyję i co robię. Wyjaśniłem, że pracuję w biurze, a w wolnych godzinach zajmuję się numizmatyką, czyli kolekcjonuję monety.

Starszy pan nagle rozpogodził się i roześmiał z całego serca, potem klepnął mnie po plecach.

— Nareszcie pan raczył się wygadać. Monety kolekcjonuje! Cha — cha! Więc pan jest waluciarzem!

— Nic podobnego! — zaprzeczyłem. — Pan mnie źle zrozumiał.

— Doskonale pana zrozumiałem. Matyldo! Matyldo!

We drzwiach ukazała się ta, na którą czekałem z największą niecierpliwością.

— Oto moja córka — powiedział ojczulek. — Matyldo, oto człowiek, który ubiega się o twoją rękę. Jest finansista.

— Ach, jak się cieszę — zaświergotała Matylda. — Czy pan jest dyrektorem banku?

— Nie — wyjaśniłem. — Nie jestem dyrektorem banku. Jestem tylko skromnym kolekcjonerem starych monet.

Zaczęliśmy mówić o innych rzeczach, o sztuce, o muzyce J. S. Bacha i o poezji romantycznej. Matylda zarecytowała

fragment wiersza pt. „Powrót taty”, ale nie pamiętaliśmy kto to napisał.

— Przepraszam was, moje dzieci — odezwał się rozmówca ojciec Matyldy. — Wy sobie tu pogadajcie, pogadajcie, a ja pójdę, rozglądnię się w chlewiku, może jakiego warchlaka zabiję.

— Nie zaczynamy od przelewu krwi — powiedziałem. — Niech sobie ten warchlak pożyje.

Zmieniliśmy temat, rozmawialiśmy o miłości. Matylda powiedziała, że pragnęłaby być dziką kobietą w głębi dziewiczej dżungli. I chciała, żebym ja był jej Tarzanem.

— Auto to już dzisiaj byle kto u nas ma — wyjaśniłem cierpliwie. — A powóz, to coś w lepszym guście. Królowa brytyjska też powozem jeździ na spacer.

Wszedł ojciec, a słysząc naszą rozmowę o powozach i o koniach, zapytał, czy służyłem w artylerii.

— Nie, proszę pana. Nie w artylerii. Byłem ułanem.

— Zwiartuję ze szczęścia! — krzyknęła Matylda. — Ja tak kocham ulanów! Tatusiu, przynieś ze stychu to stare czako ulańskie, błagam cię.

Ojciec wyszedł na stych po czako, a my padliśmy sobie w objęcia i nasze usta połączyły się w pierwszym namiętnym pocałunku.

Starszy pan wtrącił się do rozmowy i zauważył, że samą miłością nie można żyć. Musi być dochód.

W tym miejscu dyskusja urwała się, popatrzyłem na zegarek, było już dość późno, zacząłem zerknąć w stronę drzwi. Matylda zastanawiała się przez chwilę, potem wybuchnęła płaczem.

— Dlaczego ona płacze? — zapytałem.

— Bo serce ją boli — powiedział ojciec. — Pan też by płakał na jej miejscu. Każdy by płakał na jej miejscu. Przychodzą różni — tacy jak pan i inni, zalotnicy, psie krwie. Głędzą, głędzą, pytają o jakiegoś Bacha, albo o niejakiego Szekspira, o poglądy zabacza, pooglądają, powiedzą, że Matylda ma dużo wdzięku — i odchodzą. Czasem jeszcze pożyczą tyśiąć złotych na drogę i odchodzą w nieznanie.

Matylda tymczasem uspokoiła się i zaproponowała, że zaśpiewa dla mnie jakąś pieśń. Odrzuciłem jej. Zrezygnowała ze śpiewu i przyznała, że ja mam władzy głosu i stanowcze spojrzenie, i że w ogóle jestem bardzo miły. Zawsze marzyła o kimś takim jak ja. Dopiero teraz zauważyłem, że Matylda nie jest brzydka. Można nawet śmiało powiedzieć, że jest piękna.

— Proszę pana — zwróciłem się do ojca. — Czy pan już zdecydował się zabić tego warchlaka? Myślę, że z okazji zaręczyn zechcemy wydać jakieś maleńkie przyjęcie...

Ojciec rozplakał się ze wzruszenia i wyszedł do chlewika. Matylda padła w moje objęcia.

— Kochanie... — powiedziałem. — Chciałbym cię jeszcze o coś zapytać. W ogłoszeniu była mowa o jakichś tam wpływowych krewnych. Nie rozumiem, o kogo chodzi. Czy my mamy w rodzinie jakiegoś ministra?

— Nie — odparła Matylda. — Ministra nie mamy.

— Może jakiego profesora, albo pisarza?

— Nie. Mam w rodzinie jednego wujcia, który jest przodownikiem pracy. To właśnie on postanowił podarować nam samochód w podarunku ślubnym.

— Poczciwy drogi wujcio! — powiedziałem ze łzami w oczach. — Sprzedamy ten samochód i kupimy sobie konia z bryczką.

— Ależ dlaczego? — krzyknęła Matylda. — Ja nie chcę konia z bryczką! Ja chcę auto!

— Auto to już dzisiaj byle kto u nas ma — wyjaśniłem cierpliwie. — A powóz, to coś w lepszym guście. Królowa brytyjska też powozem jeździ na spacer.

Wszedł ojciec, a słysząc naszą rozmowę o powozach i o koniach, zapytał, czy służyłem w artylerii.

— Nie, proszę pana. Nie w artylerii. Byłem ułanem.

— Zwiartuję ze szczęścia! — krzyknęła Matylda. — Ja tak kocham ulanów! Tatusiu, przynieś ze stychu to stare czako ulańskie, błagam cię.

Ojciec wyszedł na stych po czako, a my padliśmy sobie w objęcia i nasze usta połączyły się w pierwszym namiętnym pocałunku.



RYS. J. SIENKIEWICZ

Hippies — szczegóły w gazetach!

Dzięki telewizji, lekturze prasy codziennej i tygodniowej oraz pilnemu słuchaniu audycji „Popołudnie z młodzieżą” przeciętne średnie opóźnienie od prądów światowych zmniejszyło się w roku sprawozdawczym z siedmiu miesięcy coma tydzień do czterech miesięcy coma trzy dni i parę godzin. Dalsze dorównanie wydaje nam się trudniejsze, ale będziemy się starać. Winiemy trudności obiektywne w postaci wysiadania prądu w czasie wyświetlania obiektywne w postaci wysiadania prądu w czasie wyświetlania „Klubu po szóstej” i innych nas interesujących audycji, wykupowania prasy młodzieżowej przez elementy wapińskowate oraz nadawania audycji „Popołudnie z młodzieżą” przed wieczornym udaniem. Pomimo tych trudności i rzucania kłód przez nieuświadomione rodzicielskie elementy, nadrobiliśmy opóźnienia w stosunku do miasta powiatowego o dziesięć dni, w stosunku do młodzieży województwa o miesiąc. Takie wyniki uzyskaliśmy dlatego, że Franek przywiózł płytę z bitlesami z samej stolicy wcześniej niż wystarzał się o to samo pan kierownik Domu Kultury.

Program nadawania nie jest łatwy, o czym może świadczyć kategoria naszego gromadkiego bitnika, Edzamsa Wiatersa. Zanim starci przyjęli i zrozumieli socjologiczne przyczyny występowania ruchu bitników, Edzams rozpedził trzy wesela po trzy dni, zatrzymał autobus pekaesu i poniósł koszty w wysokości złotych trzystu z zamiarą na dziesięć dni aresztu. Dzisiaj nasz zastużony bitnik usatkwował się od czasu, jak zapisał się na język angielski z płyt i kupił sobie elektryczną gitarę. Wszyscy znamy nasz młodzieżowy ansambel Wiatroszczakimpers, w którym drugą gitarą jestem ja sam... Tak więc bitników i bitelsów mamy z głową...

Tu chciałbym oddać sprawiedliwość naszym koleżankom, bojowniczkom o modną figurę kobiety. O ile buty z cholewkami można znaleźć w każdym gospodarstwie, wysokość spódnicy mini napotykała konserwatywne opory. Dwie koleżanki ze względu, hm, na

ogólne warunki, sami zwolniliśmy z obowiązku. Odwdzięczyły nam się wcześniejszą inicjatywą niż inicjatywa nieociekona „Przekroju”. Zapisawszy się na kurs krawiecki Kola Gospodyni, na rok przed Panią Hoff, przygotowały wspaniałą kolekcję sukien z dostępnymi ogólnie materiałami, które zrobiły powszechną furorę...

Natomiast ewolucja naszych fryzur przeszła najniżej oczekiwaną. Zarząd Spółdzielni Wielobranżowej dopiero po miesiącach zorientował się w spadku wpływów punktu fryzjerskiego! Wielkość naszych czupryn dorównuje czolówce artystycznej, jeśli zniekształcenie telewizyjnego ekranu nie powiększa fryzury Niemna, Niemena, Niemnena, no wiecie już kogo! Albo baczki, nazywane w naszej okolicy pociejówkami od czasu, gdy jeden starszy pokazał fotografię obrazu świętego Pocięcia... Czyż nie baczki sprawiły, że jesteśmy pierwszymi amantami okolicy? Czyż nie baczki ocaliły wiele rozpadających się gospodarstw? Ilu wróciło kolegów z miasta, aby z rąk starych podjąć produkcję rolnotowarową i hodowlaną? Ile dziewcząt przestało się kochać w znanych aktorach filmowych, mistrzach estrady i miodnych uczonych przemysłu nuklearnego, bo miały podobne wzorce urody pod bokiem? Uczcijmy to minuta milczenia...

Koleżdy, życie nie stoi w miejscu, życie wymaga ofiarnych przeżyczeń. Koleżdy, oddajmy część naszym bitnikom, ale teraz to nie honor rozwalić kiosku, wyrwać sztachetę, poczęstować łamigłówką kogóż z mniej symatycznych weselników. Koleżdy, od jutra kochamy kwiaty, przyjaźń i miłość, od jutra jesteśmy jak te strusie... Takie facety nazywają się „hippiesi” czy jak tam.

Głos z sali: Kwiaty w zimie!
Poczekamy do wiosny, ale kwiaty muszą być. Szczegóły w gazetach.

Polonica kulturalne

Polscy muzycy w Rumunii

Publiczność rumuńska miała ostatnio możliwość oklaskiwac grupę polskich muzyków — pianistkę Lidie Kozubek, dyrygenta Mariana Lewandowskiego oraz „Trío krakowskie”. Kameraliści krakowscy wystąpili w Bukareszcie, wykonując utwory Brahmsa, Chopina i Czajkowskiego. Lidia Kozubek była solistką poprowadzonych przez Mariana Lewandowskiego koncertów w Oradei, Satu Mare i Baja Mare. W programie znalazły się m. in. utwory Moniuszki i Chopina.

Pantomima Wrocławska w szwedzkiej TV

Telewizja szwedzka nadała dramat pantomimiczny Henryka Tomaszewskiego oparty na starej legendzie japońskiej pt. „Suknia”, do muzyki Juliusza Łuciuła. Nagranie zostało dokonane podczas występów Teatru Pantomimy z Wrocławia w Teatrze Falconer w Kopenhadze w 1966 r.

Wystawa tkaniny i ceramiki polskiej w Budapeszcie

W salach Ośrodka Informacji i Kultury Polskiej w Budapeszcie otwarto wystawę tkaniny i ceramiki, na której eksponowane są prace Barbary Falkowskiej, Alicji Francman i Henryka Luli.

Na wernisażu obecny był jeden z autorów wystawianych prac Henryk Luli, który brał udział w pracach rekonstrukcyjnych gdańskiej „Starówki”. Uprawia on rzeźbę i ceramikę.

„Lato w Nohant” w telewizji bułgarskiej

Teatr Telewizji Bułgarskiej zaprezentował ostatnio sztukę Jarosława Iwaszkiewicza „Lato w Nohant”. Reżyserował Józef Słowiński z warszawskiej TV.

Teatr z Białegostoku w Grodnie

Dużym zainteresowaniem cieszyły się w Grodnie występy teatru im. Aleksandra Węgierki z Białegostoku. Widzowie obejrżeli „Niemy”, Leona Kruczkowskiego, „Moralność pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej oraz „Tragedię optymistyczną” Wsiewołoda Wiszniewskiego. Zespół polski dał łącznie 6 przedstawień, które obejrzało ok. 3 tys. osób.

Wystawa grafiki współczesnej w Turcji

W Ankarze otwarto wystawę polskiej grafiki współczesnej. Eksponowane są tu 83 prace graficzne 34 autorów oraz 86 plakatów 28 autorów.

Recenzje o polskich książkach w słowackim czasopiśmie

W słowackim czasopiśmie „Revue Svetovej Literatry” znalazły się dwa przekłady recenzji o książkach polskich autorów opublikowanych w naszych czasopiśmiech literackich. Jedną z nich jest zamieszczona w „Nowych Książkach”, recenzja Stefana Licharskiego o „Akacji” Jana Parandowskiego, drugą — zamieszczona w „Kulturze” recenzja Michała Basłowskiego o powieści Jerzego Zielińskiego „Konrad nie chce z iść ze sceny”.

Wystawa wycinanek polskich w Kopenhadze

Czynna do niedawna w Kopenhadze wystawa wycinanek kurpiowskich i łowickich cieszyła się dużym powodzeniem. W czasie ekspozycji Czestawa Konopka demonstrowała sposób wycinania z różnokolorowego papieru misternych kwiatów i ptaków. Prasa duńska zamieściła pochlebne recenzje z wystawy.

Korespondencje — Polemiki — Dyskusje

Jeszcze w sprawie „młodych po ślubie”

Dosyć długo zastanawiałem się, zanim zdecydowałem się wyrazić swoje refleksje na temat artykułu Krystyny Siemiatyckiej pt. „Młodzi po ślubie”. Moją decyzję spowodowało wiele względów.

Gdyby mój artykuł w jakiś przedziwny sposób przedarł się na tamy cenzonego przeze mnie „Widnokragu”, to zapoczątkowałby, moim oczywiście zdaniem, dyskusję na ten tak bardzo ważny i naprawdę życiowy problem młodych ludzi. Po drugie nie mogę się zgodzić z pewnymi wnioskami autorki, dotyczącymi uczuć oraz „polityki” młodych ludzi przed zawarciem ślubu. Są jeszcze inne przyczyny. Nie będę ich wymieniał, gdyż nie o tym chcę pisać. Dla mnie najważniejsze jest to, co zawierał artykuł Krystyny Siemiatyckiej. A zawierał miejscami dosyć dziwne rzeczy. Jak paskwił przeciw miłości brzmiało zdanie: „a młodzi... mimo wszystko na pierwszym planie stawiają uczucie”.

A co mają stawiać na pierwszym planie? Rozsądek, a może pieniądze? Jak wtedy wyglądałoby małżeństwo? Rzeczywiście, bardzo ładnie. Żyją sobie spokojnie, w dostatku, bez żadnych problemów. Każde robi co chce. Jedno nie mówi nic drugiemu o swoich kłopotach, smutkach, bo i po co. Po co ja miałbym mówić żonie o swoich kłopotach, gdy nie ożeniłem się z tą kobietą, tylko za jej pieniądze. O wiele wyższą cenę kłopoty młodego, ale kochającego się małżeństwa, niż nieufność i brak zaufania w bezuczuciowym związku dwojga ludzi.

Jest prawdą — i z tym całkowicie zgadzam się z autorką — że lekkomyślność w zawieraniu związków małżeńskich wyrządziła niejednemu krzywdę. Nie można powiedzieć, ot tak po prostu — pobieramy się. Trzeba się dokładnie zastanowić, trzeba się starać przewidzieć czyniące niebezpieczeństwo i trudności. A jest ich — i tu też podaje ręce autorce — niesamowicie dużo. Wszystko jednak błędnie wobec problemu mieszkania. Jest to sprawa tak trudna, że nie bardzo widzę wyjście. Wyjście jest ale... dla naszych dzieci. Trzeba po prostu założyć książeczkę mieszkaniową 10 lat przed ewentualnym ślubem. Ale czy jest wyjście dla nas, którzy jeszcze teraz jesteśmy dziećmi, chociaż dorosłymi?

Przecież minęło dopiero niecałe 3 lata od ustawy o wyłączeniu spółdzielczym budownictwie mieszkaniowym. Jak dużo pieniędzy może w przeciągu tych trzech lat ułożyć student?

Niewiele. Trzeba więc czekać do końca studiów. Gdy młody człowiek, po studiach, np. pedagogicznych, podejmując pracę, nigdy nie zarabia więcej niż 2 tys. złotych. I znów minie kilka lat, zanim zgromadzi wymagany wkład i zostanie członkiem spółdzielni. Wtedy dopiero można wziąć ślub. Ale na mieszkanie czekać trzeba i tak co najmniej 4 lata. A więc znowu niedobrze.

Wyłania się tutaj jeszcze jeden, dosyć ważny aspekt tej sprawy. Z punktu widzenia regulaminu spółdzielni mieszkaniowej, najbardziej korzystne jest zawarcie małżeństwa jeszcze przed wpłaceniem całego wkładu na mieszkanie. W przeciwnym wypadku zamiast przysługującego M-3 dostanie się M-1. „Jak nie kijem to go pa-

lą” — mówi stare ludowe porzekadło.

Wielka szkoda, że pani Krystyna Siemiatycka nie wskazała nam właściwej drogi. Bardzo łatwo powiedzieć: „młodzi, zanim się pobierzecie, pomyślcie o mieszkaniu”.

Bardzo często młodzi pobierają się jeszcze na studiach. Nie jest to najgorsze wyjście, bo i o mieszkanie wtedy łatwiej i państwo pomaga (specjalne zasiłki pieniężne dla małżeństw typowo studenckich). A jeśli chodzi o przerwanie studia, to znowu tak często się to nie zdarza. Wiem to stąd, ponieważ sam jestem studentem. Małżeństwo takie zawiera się z reguły po to, aby łatwiej otrzymać mieszkanie. No cóż, wydaje mi się, że innych możliwości nie ma i jeszcze bardzo długo młode małżeństwa będą miały kłopoty z mieszkaniem. Tylko prawdziwa miłość uczyni, że przetrwanie tego okresu nie pozostawi gorzkich wspomnień i urazów.

PAWEŁ TEĆZA
student IV roku matematyki
Wyższa Szkoła Pedagogiczna
w Rzeszowie

„REDAKCJA „WIDNOKRĄGU” W RZESZOWIE

Szanowna Redakcjo, w noworocznym numerze Waszego tygodnika wśród różnorodnych życzeń i podsumowań mających na względzie szerzenie kultury w naszym życiu codziennym znalazł się niemal poemacik pt. „A Merkuremu łut kultury” sporządzony przez red. C. Błońskiego. Sprawy podniesione w artykule, wzięte z naszego codziennego życia, a dotyczące traktowania nas, klientów, w rzeszowskich sklepach zasługują na to, aby im poświęcić cotygodniowo jakiś kącik na łamach Waszej Gazety.

Autorka wspomnianego artykułu trafiła tak w sedno, że wprost ma się ochotę wziąć plik „Widnokragów” i roznieść po tych sklepach, gdzie się chodzi codziennie, a gdzie nie ma się ochoty pójść, bo „nerwy nie wytrzymają”, lecz nie ma rady, trzeba kupować to i tamto. (Wyjątek z listu Julii Smykałowej)

DO REDAKCJI „NOWINY RZESZOWSKIE” „WIDNOKRĄG”

Zwracam się z uprzejmą prośbą o przekazanie Sz. Panu Andrzejowi Tokarczykowi serdecznego podziękowania za cenny i bardzo pożyteczny artykuł pt. „Dni, które wstrząsnęły papierstwem”.

Równocześnie proszę Redakcję o częstsze umieszczanie podobnych artykułów w „Nowinach”.

Kreślę się z należytym szacunkiem. W. L.



FOT. LIGEZA



Chciałoby się tym razem z o-wych 7 dni wyłowić dla przypomnienia dość dużo dobrych programów i parę spektakli, z których jeden zdał mi się rzeczywiście znakomity.

Mówię naturalnie o „Tatuazach” Borowicza w reżyserii Augusta Kowalczyka, który przygotował Studio Współczesne w ubiegłą środę. Sztuka Borowicza o Wietnamie, za którą otrzymał nagrodę konkursu A-teneum na debiut dramaturgiczny, mogłaby znakomicie nosić tytuł „Osaczeni”, bowiem o osaczenie strachem, niezwykłością ziemi, którą się niszczy, osaczenie klimatem, osaczenie resztkami sumień, osaczenie sytuacjami bezwyjściowymi w niej chodziło. Groźna aktualność „Tatuazów” to jeszcze jeden komentarz polityczny — tym razem wyrażony za pomocą środków artystycznych. Styszymy o wojnie wietnamskiej dużo przerażających rzeczy w telewizji, ale słyszymy o faktach; nieczęsto ktoś próbuje zająć się psychologią faktów — toteż spektakl Borowicza zdał mi się wypełniać tę lukę znakomicie, równie znakomicie jak wspaniała, kilku-nastominutowa relacja z Wietnamu innego pisarza — Wojciecha Żukrowskiego zapelniała ją przed paroma tygodniami.

Z innych spektakli wyznam, że rozczarował mnie nieco „Brat marnotrawny” Oskara Wilde’a, którego z taką pompą i w glorii świętego aktorstwa wystawił Teatr Telewizyjny. Lord Paradoks ośniewa i dziś jeszcze inteligencję, ewokuje dreszczyk podniecenia śmiałością sformułowań, które u schyłku purytańskiego wieku ubiegłego, przyprawiały o wściekłość nobliwych mieszkańców Albionu. Cóż z tego jednak dziś pozostało? Tak jak nam padała „Brata marnotrawnego” Anna Minkiewicz — pozostał nieco absurdalny humor, iskrzące specyficznym dowcipem dialogi i... chwilami znużenie bladością problemu. Z aktorów zaś

wspaniałych, że wymienię choć Ludwiżankę, Kwiatkowską, Hańczę, Holoubka i Łapickiego, tylko ten ostatni mnie zachwycił i podejrzewam, że to o nim od dziś można będzie mówić: aktor wildeowski (co jak wszyscy zapewne wiedzą przysługiwało do tej pory Holoubkowi dzięki pamiętnej inscenizacji telewizyjnej „Portretu Doriana Greya”).

A w „Kobrze” co słychać? — Jerzy Włodan dał „Szansę słabemu” przy pomocy reżyserskiej Ewy Vogtman-Budny. Po różnych straszliwościach — natworościach ta straszliwość była zupełnie pomysłowa i miała ponętną Barbarę Rylską, która grając jak czarny anioł telewizyjnego ekranu — od czasu do czasu wypadała z... tekstu.

Natomiast w rozrywce udało nam się zobaczyć widowisko folklorystyczne, pełne rubasznosci i witalnego humoru, o sensownym scenariuszu i w świetnej inscenizacji Ewy Bonackiej. Parafrazując wieszczą — wykonawców było wielu, lecz żaden z nich nie śmie stanąć przy Barbarze Krafftównie, która bezapelacyjnie podbiła mnie urokami stylizowanej piosenki, autentycznym komizmem i wdziękami wokalnymi.

Kiedysmy już przy ośrodkach regionalnych, bodaj wspomnę kilka znakomitych reportaży, które służyły się na ostatni magazyn „Nad Odrą i Bałtykiem”. Była w nich nuta osobistych wyznań młodej inteligencji Ziemi Zachodnich, zdrowa apoteoza zasłużonych karier ludzi z rzetelną wiedzą — prezentacja zatem pokolenia pozytywnego — ciekawa i pouczająca. Poza tym była to lekcja dla innych ośrodków jak należy żywo prezentować region, kogo w tych prezentacjach umieszczać.

Kraków natomiast przedstawił nam ewenementy artystyczne w dwu odcinkach. Prowadził ten mini-cykl Michał Sprusiński i ostatni jego odcinek poślęcił teatraliom. Było w nim wiele ciekawych komentarzy i aż żal, że tylko do komentarzy autor musiał się ograniczyć z braku możliwości technicznych przeniesienia fragmentów co ciekawszych spektakli na mały ekran. Wniosek stąd jeden płynie, że krakowska kopia warszawskiego Pegaza miałaby najrealniejsze szanse bytu jako stały magazyn. I na zakończenie już pomieszczyć maciopenką perelkę, jaka ozdobiła telewizyjne 7 dni — czyli film muzyczny według żartu operowego Cimarosa „Il maestro di capella”, w którym zabłysnął talentem wokalnno-aktorskim Bernard Ładysz i świetnymi pomysłami reżyser piękniego drobiazgu — Franciszek Fuchs. Choć rzecz nie trwała więcej niż kilkanaście minut, wzdycham, byśmy raz w tygodniu tak urocze kilkanaście minut mieć mogli.

Kończąc, z żalem donoszę, że nie starczyło mi miejsca ni czasu na świetne warszawskie w Refleksjach, na piękny program Estrady Literackiej z poezją o Warszawie, na „Portret Jesieni” przygotowany przez telewizyjną radziecką, na zapewne powszechnie oglądany „Klasy”, w którym tym razem pomieszczone wszystkie o „Lale” Wojciecha Hasa. Refleksja więc jedna — nie był to zły tydzień i oby takich więcej... KRYSZYNA

KSIAZKI

JERZY PUTRAMENT: Na drogach Indii. MON, s. 203, cena 17 zł.

Tom reportaży, plan niedawnej podróży autora do tego drugiego pod względem ilości mieszkańców kraju na świecie, drukowany był już w „Polityce”. Autor w zakończeniu pisze, że zamiarem jego było „odtworzenie wszystkiego, co przejmujące, abym nigdy nie zapomniał wielkiej krzywdy pół milarda ludzi i aby cząstkę własnego niepokoju zasłać w duszy czytelnika”.

KALMAN SEGAL: Śmierć archiwisty. PIW, s. 151, cena 12 zł.

Pochodzący z Sanoka autor prowadzi nas w kraj swego dzieciństwa. Odżywają na kartkach książki postaci, które z innych utworów, a przynajmniej podobne. Obyczajowe i psychologiczne.

SZYMON PIETRZAK: Przechadzka w przeszłość. MON, s. 232, cena 20 zł. Pamiętnik tego człowieka jest zarazem historią epoki. Postępowe ruchy

chłopskie, udział w Rewolucji Październikowej, walka w ramach radykalnego ruchu chłopskiego w Polsce sanacyjnej, w szeregach GL i AL. Potem działalność polityczna w odrodzonej Polsce. Barwne wspomnienia. Prosta relacja.

VLADO SEGRT: Krew na kamieniu. Przeł. H. Kalita. MON, s. 551, cena 23 zł.

Również wspomnienia Generała w okresie II wojny światowej, potem działacza politycznego Jugosławii. W pamiętniku swym przedstawia autor dzieje ruchu oporu. Wstrząsający obraz epoki wojennej i bohaterstwa partyzantów w walce z faszyzmem.

Czy mały realizm? Opr. i wybór J. Kajtoch i J. Skórnicki. Iskry, s. 412, cena 30 zł.

To nie jest almanach. Hasłem wywoławczym jest „mały realizm”. Odpowiadają na nie krytycy, prozaicy i poeci ze środowisk krakowskiego, rzeszowskiego, lubelskiego, kieleckiego, katowickiego, opolskiego i wrocławskiego. Razem prace 47 autorów. Ułożone: Eseje, proza, poezja, aneksy, a w nim fragmenty artykułów prasowych.

Przy nargilach i kawie. Bajki Tunisu. Wybór, słowo wstępne i przekład A. Miodońska-Susulowa. PIW, s. 220, cena 30 zł.

Baśnie, anegdoty i dwa opowiadania. Pełne swobodnego dowcipu, orientalnego posmaku i filozofii.

BERNARD SZTAJNERT: Narodziny Brunona Bunderana. Wilcza ulica,

Wyd. II. Wyd. Łódzkie, s. 265, cena 15 zł.

Wznowienie dwóch powieści stanowiących całość. Okres lat trzydziestych i okupacji.

EUGENIA KOBYLIŃSKA-MASIEJEWSKA: Córki chcą inaczej. Wyd. Morskie, s. 333, cena 22 zł.

Również wznowienie. O młodzieży, ale nie tylko dla młodzieży. Problemy wychowawcze. Kłopoty z córkami.

WITOLD SZOLGINA: Budujemy nowy dom. Iskry, s. 319, cena 30 zł.

Lekko i przystępnie napisana książka opowiada o najciekawszych osiągnięciach i metodach stosowanych we współczesnym budownictwie. Książka m. in. opowiada o tym, jak powstają domy z plany, dymu i powietrza, jak mieszka się w domach wiszących i podwodnych. Wiele ciekawostek z tej dziedziny, graniczących z fantastyką. Ciekawe ilustracje.

JÓZEF BAŃKA: Poglądy filozoficzno-społeczne Michała Wiszniewskiego. KiW, s. 390, cena 32 zł.

Autor monografii o poglądach filozoficznych Wiszniewskiego jest adiunktem w Katedrze Historii Filozofii Uniwersytetu imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu. Pisząc tę pracę autor oparł się na zdeponowanej w Bibliotece Jagiellońskiej spuściznie rękopiśmiennej jednego z największych filozofów polskich XIX wieku. Rozdział pierwszy pracy jest szkicem biograficznym.

HANNA SZUMAŃSKA-GROSSOWA: Podróże Stefana Szolca Rogozińskiego. PIW, s. 386, cena 25 zł.

Wnikliwa praca dokumentacyjna o pierwszym polskiej wyprawie do Kamerunu. Jest to zarazem ciekawa opowieść uwzględniająca również perypetie okresu przygotowań oraz losy bohatera — Stefana Szolca Rogozińskiego. Książka posiada duże walory literackie.

Kto, kiedy, dlaczego — w kosmosie. Iskry, s. 283, cena 18 zł.

Mała encyklopedia z zakresu wiedzy o kosmosie i jego zdobywaniu. Odpowiedzi na najbardziej frapujące i najciekawsze pytania z tej dziedziny podane w sposób popularny. Książka ma podać podstawowe wiadomości i pomóc w rozbudzeniu szerszych zainteresowań tą dziedziną wiedzy.

JOSEF SADIL: Planety. PWN, s. 455, cena 37 zł.

Przekład z czeskiego. Książka w popularny sposób podaje wiadomości o planetach, którymi zainteresowanie w dobie lotów międzyplanetarnych wciąż wzrasta. Biblioteka Problemów.

JOHN R. PIERCE: Symbola, sygnały i szumy. PWN, s. 371, cena 33 zł.

Nowy tom Biblioteki Problemów. Tłumaczona z angielskiego publikacja objaśnia podstawy cybernetyki, zakres jej zastosowań, metody i terminologię. Argumentuje, przekonuje, wyjaśnia wątpliwości i nieporozumienia dotyczące jednego, obszernego działu cybernetyki — teorii informacji.

NA NASZYM EKRANIE

Pietro Germi, jeden z czołowych twórców włoskiego neorealizmu („Droga nadziei”, „Pod niebem Sycylii”) reżyser, który najbardziej konsekwentnie trzyma się nadal realizmu, jako metody twórczej, porzucił ulubione miejsce akcji swoich filmów południe Włoch i najnowszy utwór umiejscowił na północy. Nie zdradził jednak tematyki i... gatunku. „Panie i panowie” to (podobnie, jak poprzedzające ją „Rozwód po włosku” i „Uwiedziona i porzuciona”) swoista tragikomedialna powieść, podejmująca ostro i satyrycznie zagadnienia współczesnej obyczajowości i moralności.

Oto śmietanka towarzyska małego miasteczka prowincjonalnego Treviso: lekarz, sklepikarz, przedsiębiorca, aptekarz, urzędnik bankowy. Zacięci, bogobojni, szalenie dbający o zewnętrzną pozory, ale nie od tego, by nie poświatlić trochę, gdy nadarzy się okazja, plotkarze, hipokryci, spędzający wolny czas na niewybrednych rozrywkach.

Właśnie jeden z nich zwierzył się pod sekretem znajomemu lekarzowi ze swoich intymnych kłopotów z wypełnianiem małżeńskich obowiązków. Lekarz (również pod sekretem) puszcza tę informację w obiegu na towa-

dziej cnotliwa, znana działaczka charytatywna, przy pomocy znajomych księży, nakłada kaganiec miejscowej prasie, a sama z plikiem lirów rusza do oskarżyciela, załagodzić jakoś całą awanturę.

Germi nie oszczędza swoich bohaterów. Ośmiesza ich zjadliwie, atakuje całe ich postępowanie i postawę, nie pozwala widzowi na sympatię w stosunku do któregośkolwiek. W całym filmie nie ma właściwie pozytywnej postaci. Nieco ciepłej może zarysowane są sylwetki Mileny i zakochanego Oswaldo, ale i w tym przypadku reżyser ośmiesza oboje na potęgę.

Ale atakuje nie tylko postaci i postawy. Ukazuje także obtudę i fałsz panujące w małym miasteczku, burżuazji, stosunki doprowadzające do takiego zachowania i postaw, atakuje działające zza kulis i sprawujące w miasteczku faktyczną władzę siły klerykalne.

Nie wahają się one przed niczym dla utrzymania ustalonych i tradycyjnych układów społecznych, dla „zachowania twarzy” miejscowej burżuazji, dla obrony przestarzałych zasad i pozorów chrześcijańskiej etyki, za którymi kryje się rozkład i zgniła moralna. Główne ostrze

Straszeni mieszczanie po włosku

Prowincjonalne dolce vita

ryskim wieczorku i o to „ubaw jest po pachy”. Zabawa jest jednak jeszcze lepsza, kiedy tenże lekarz, powierzony owemu niefortunniemu własną małżonkę pod opiekę, zastaje oboje w sytuacji świadczącej o pełnej sprawności rzekomego impotentta. I cóż czyni nasz pełen temperamentu doktor? Zabija rywala? Zonę? Ależ skąd. Zostawia ich oboje w domu i idzie do lokalu tanecznego, ponieważ na ulicy czeka przyjaciel-gadula, gotów rozbebnąć wszystko na całe miasto. Trzeba więc udawać, że wszystko w porządku, byle tylko bliźni o niczym nie wiedzieli.

Inna sytuacja. Nasi donżuani zabawili się nieco z pewną młodą dziewczyną, przekazując ją sobie z rąk do rąk, niczym pałeczki sztafetowej. Ojciec dziewczyny zrobił awanturę, bo córka była nieletnia, panom grozi sąd i skandal. Wówczas na scenę wkraczają panie — godne partnerki swoich mężków. Najbar-

zyskim wieczorku i o to „ubaw jest po pachy”. Zabawa jest jednak jeszcze lepsza, kiedy tenże lekarz, powierzony owemu niefortunniemu własną małżonkę pod opiekę, zastaje oboje w sytuacji świadczącej o pełnej sprawności rzekomego impotentta. I cóż czyni nasz pełen temperamentu doktor? Zabija rywala? Zonę? Ależ skąd. Zostawia ich oboje w domu i idzie do lokalu tanecznego, ponieważ na ulicy czeka przyjaciel-gadula, gotów rozbebnąć wszystko na całe miasto. Trzeba więc udawać, że wszystko w porządku, byle tylko bliźni o niczym nie wiedzieli.

Reżyser nie po raz pierwszy naraził się warstwowo, które krytykuje. Robi to jednak z pełną świadomością, z wiarą w społeczną rolę filmu i przekonaniem, że demaskowanie na ekranie zia ma ogromne znaczenie w życiu społecznym. Dlatego jego filmy tak często rozpętują burzę, wywołują różnorodne opinie. Jeżeli o Fellinim czy Viscontim mówimy o poetach ekranu, Germiego można nazwać dziennikarzem filmowym, publicystą, poruszającym w swoich utworach istotne zagadnienia współczesnego społeczeństwa, piętnując wszelkie przejawy zła. Czynił to w „Drodze nadziei”, w „Pod niebem Sycylii”, „Rozwodzie po włosku” i innych swoich dziełach, czyni to w „Paniach i panach”.

Jest to film posiadający pew-

ną szczególną cechę, odróżniającą go od poprzednich, choćby od wspomnianego wyżej „Rozvodu po włosku”. Nie ma w nim specyficznych cech obyczajowości i społecznego zachowania południa Italii, to co widzimy na ekranie może mieć miejsce pod każdą szerokością geograficzną. Toteż może się zdarzyć, że widzowi, który zacznie się serdecznie bawić perypetiami mieszkańców Treviso, raptem śmiech ulotni się z rozchyłonej od ucha do ucha gęby. Być może, rozpozna na ekranie kogoś znajomego, być może, skojarzy sobie coś z czymś znanym skądinąd, a może po prostu przerazi go obraz społeczności prezentowanej w filmie.

Może właśnie dlatego ekskluzywna widownia canneńskiego festiwalu całkiem nieeleganckimi gwiazdami przyjęła w roku 1966 decyzję jury o przyznaniu Germiemu za „Panie i panów” „Złotej Palmy” (ex aequo z filmem Leloucha „Kobieta i mężczyzna”). Może dlatego burżuazyjna kry-

tyka z taką niechęcią pisała o tym filmie?

Co prawda, także wielu postępowych recenzentów krytykowało Germiego, ale ci zarzucali mu brak ostrości satyrycznej, pominięcie jeszcze bardziej ujemnych niż pokazane cechy włoskiego mieszczaństwa, powierzchowność krytyki. Jeżeli jest w tym choć trochę racji, jeżeli Germi mógł „użyć sobie jeszcze bardziej”, to jak musi wyglądać rzeczywistość we włoskich miasteczkach?

Kiedy krytyka „kręciła nosem”, publiczność włoska przyjmowała film z entuzjazmem. Można sądzić, że u nas także film Germiego zdobędzie sobie powodzenie, ale dobrze byłoby, gdyby prócz rozrywki, jaką z sobą niesie, otworzył nam oczy na pojawiające się także tu i ówdzie u nas — choć na razie bardzo sporadycznie — przejawy mieszczańskiej, społecznej, pasożytnej postawy.

PANIE I PANOWIE. Scenariusz: Pietro Germi, Luciano Vicenzoni, Age Scarpelli. Zdjęcia: Ajace Parolin. Muzyka: Carlo Rusticelli. Grają: Verna Lisi, Gastone Moschin, Alberto Lionello, Beba Loncar, Nora Ricci, Olga Villi i inni.

(sz)

Aforyzmy

Kobiety byłyby bardzo mile, gdyby nie to, że za wszelką cenę chcą być szczęśliwe. (M. Achard)

Nie szukaj pod mikroskopem plam na swoim szczęściu. (stary chemik)

Wiele ryb żyje jeszcze na świecie tylko dlatego, że są nieme.

Lysina nie jest jeszcze aureolą.

Może kobieta istotnie jest puchem, ale lepiej tego nie sprawdzać.

Tylko surowe jajko jest mądrzejsze od kury.

Nikt nie jest Kolumbem i do tego w burze.

Nie wystarczy chwalić mydło, by być czystym.

Najkrótsze błędy są zawsze najlepsze. (Molier)

I kura ma skrzydła jak orzeł, ale cóż z tego?

(Fredro)

Wybrał J. K.



MIECZYSLAW ZAJDEL — działacz kulturalny, kierownik kina „Wczasowicz” w Iwoniczu-Zdroju.
Rys. J. SIENKIEWICZ

ZDARZENIA TYGODNIA

Rzeszowska Państwowa Filharmonia im. Artura Malawskiego w związku z 10 rocznicą śmierci tego wielkiego kompozytora i wychowawcy zorganizowała w dniu 17 stycznia br. na Zamku w Łańcucie recital fortepianowy Lidil Grychtolówny.

Program był bardzo interesujący tak ze względu na wykonawczynię, jak i wykonane utwory. Czołowa pianistka polska znana szeroko poza granicami kraju wykonała utwory A. Malawskiego, K. Szymanowskiego, W. Lutosławskiego, J. Zarębskiego i F. Chopina.

W tym tygodniu odbył się w sali WDK (piątek, 19 bm.) kolejny koncert symfoniczny. Orkiestra Państwowej Filharmonii im. A. Malawskiego pod dyrekcją Janusza Ambrosia wykonała uwerturę „Rosamunda” F. Schuberta, „Don Juana” R. Straussa i „Tannhäuser” R. Wagnera. Solistą był Krzysztof Jakowicz, który odegrał koncert skrzypcowy D-dur N. Paganiniego.

Rzeszowscy melomani z pewnością byli zadowoleni z tego wieczoru. Przyczynił się do tego znany już z występów w Rzeszowie solista, jak również niektóre punkty programu, wykonane przez orkiestrę, a w szczególności „Dom Juan” R. Straussa.

Już dziś możemy poinformować o wynikach ogłoszonego w „Nowinach Rzeszowskich” konkursu na najlepszą grafikę — rysunek miesięca. Pokładane przez organizatorów imprezy nadzieje spełniły się w całej pełni. Jury pod przewodnictwem Renaty Niemirskiej-Pisarek miało niełatwe zadanie, gdyż wszystkie z 15 nadesłanych prac (rysunek, grafika) reprezentowały wysoki poziom, a nagrody w tym miesiącu uzyskały: w dziale rysunku „Godzina wspomnień” Ireny Wojnickiej i „Dzieci w ptaszarni” Józefa Gazdy (grafika). Wszystkie są eksponowane w lokalu Klubu Młodzieżowego przy ul. Słowackiego.

Interesującą przedstawia się plan pracy na rok 1968 Komisji Oświaty WKZZ, która obradowała 18 bm. pod przewodnictwem prezesa Zarządu Okręgu ZNP Józefa Kolbusza. Przewiduje on m. in. przeprowadzenie w styczniu i lutym kontroli realizacji uchwały Rady Ministrów w sprawie uzupełnienia wykształcenia podstawowego przez „pracujących”, analizę przydatności absolwentów zasadniczych szkół zawodowych o kierunku metalowym do pracy w zawodzie. Dokona się jej na podstawie przeprowadzonych w ub. roku badań ankietowych. Istotnymi punktami planu pracy są również ocena dotychczasowej działalności państwowych komisji egzaminacyjnych na tytuły robotnika i mistrza w zawodzie, działających w zakładach pracy, badanie pomocy zakładów pracy dla studiujących pracowników oraz ocena działalności oświatowej — czytelniczej w związkowych placówkach kulturalno - oświatowych.

Muzeum Okręgowe w Rzeszowie stara się w miarę swoich możliwości przygotować dla zwiedzających coś atrakcyjnego. Dobrze tym zamiarom służyła wystawa czasowa, organizowana niezależnie od ekspozycji stałych. W ostatni czwartek otwarto np. bardzo ciekawą ekspozycję pt. „Ceramika pokaźna”. Jest to zestaw eksponatów stanowiących kolekcję, będącą własnością dyrektora Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku — Aleksandra Rybickiego. Pokazano tu ceramikę hucluską, m. in. karle, fiakony, wyroby z drzewa, a także kilka obrazów. Obecny na otwarciu ekspozycji właściciel zbiorów omówił rozwój ceramiki hucluskiej, zdobnictwa itp. oraz oprowadził zebranych po wystawie.

Dłuższy okres na afiszach Biura Wystaw Artystycznych figurowały II Jesienne Konfrontacje. Dopiero sobota, 20 bież. miesiąca, przyniosła coś nowego. Otóż w salach wystawowych BWA otwarto 2 wystawy. Jedną z nich jest wystawa prac (rzeźba i grafika), nadesłanych na konkurs ogłoszony przez KW PZPR, Wydz. Kultury i Zarząd Okręgu ZPAP z okazji 50 rocznicy Rewolucji Październikowej i 25-lecia PPR.

Druga ekspozycja — to pokaz prac 21 członków ZPAP okręgu tarnowskiego. Natomiast w Klubie Związków Twórczych Biuro Wystaw Artystycznych i rzeszowski Zarząd Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków urządziły i wystawę z planowanego cyklu prezentacji dorobku plastyków, zamieszczonych w naszym województwie. Otwiera go Edward Kietlering z Jarostawia.



Kadr z filmu „Panie i panowie”